GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 GRUDNIA 1932
NR. 23 ROK II

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 23
1—XII
1932 R.

DWA TYGODNIE

DŁUGI WOJENNE.

Z możliwością reelekcji prezydenta Hoovera łączono nadzieje pomyślnego dla Europy rozwiązania sprawy długów wojennych. Nie chcemy przesądzać czy nadzieje te były uzasadnione, wydaje się jednak, że Ameryka nie podejmie takich metod, które poprzez redukcję, czy rozłożenie spłaty długów mogłyby Europie przynieść niezbędną ulgę. W obecnym stanie rzeczy, wytworzonym przez wybory listopadowe jedno jest pewne: Ameryka żąda zapłaty w dniu 15 grudnia przypadającej na ten dzień raty dłużniczej, której annuitet wynosi ok. 300 miljonów dolarów.

Zagadnienie spłaty długów wojennych należy rozpatrywać w skali możliwie szerokiej. Nie siląc się na uchwycenie wszystkich najważniejszych punktów tego zagadnienia i nie zamierzając nakreślić zasadniczych rysów oblicza problemu, o którym mowa, chcielibyśmy jedynie zwrócić uwagę na kilka momentów, naszem zdaniem dosyć interesujących i charakterystycznych.

W pierwszym rzędzie pozwolimy sobie podkreślić nader ważną okoliczność, że *geneza* długu wojennego Europy wobec Ameryki jest tego rodzaju, iż do kwestji spłaty tego długu nie można przykładać miary takiej, jaka obowiązuje wobec kwestji długów gospodarczych. Długi wojenne, aczkolwiek już skonsolidowane, mieszczą w sobie implicite elementy, pokrewne lichwie. Amerykanie lubią coprawda powoływać się na fakt, że oni jedni z pośród aljantów nie otrzymali ani skrawka nowego terytorjum, nie lubią natomiast, gdy im się przypomina, że dzięki wojnie proces dojrzewania gospodarczego Stanów Zjednoczonych kolosalnie został przyspieszony, że Stany uzyskały przewagę nad Europą, która z wierzyciela stała się ich dłużnikiem, że — nakoniec — pomoc, okazana np. Polsce miała w sobie równie dużo humanitaryzmu, co i pomyślnej pod względem kupieckim likwidacji stock'ów, zagważdżających rynek.

To jedno. Po drugie kryzys europejski, niewątpliwie istotna przyczyna trudności płatniczych przy transferze, ma swe źródło również w prohibicyjnej, autarchicznej polityce handlowej Stanów w latach ostatnich. Jak długo import towarów do Ameryki nie jest wolny od tysiąca przeszkód, wyrosłych przed paroma dopiero laty, tak długo nie można mówić o swobodzie cyrkulacji kapitałów, których tylko *fragmentem* jest, a w każdym razie musi być problem spłaty długów wojennych. Szkody, wynikające ze stanowiska Ameryki jako importera, nie tylko podkopały międzynarodowy system płatniczy, lecz ponadto — poprzez osłabienie światowych finansów — zmniejszyły handel zagraniczny i aktywność gospodarczą i to nieproporcjonalnie w porównaniu z długami wojennymi. Nie trzeba przytem zapominać, że w 1931 r., kiedy eksport Stanów Zjednoczonych do Europy stanowił już tylko 1.186 miljonów dolarów wobec 2.604 milj. dol. w 1925 r., eksport ten wynosił jeszcze około połowy ogólnego wywozu Stanów, podczas gdy przed wojną wynosił on niewiele więcej, gdyż ca 60%.

Po trzecie — zagadnienie spłaty długów wojennych nie może być obojętne dla sytuacji gospodarczej samych Stanów, która zkolei ma olbrzymie znaczenie — materjalne i moralne — dla poprawy stanu gospodarczego w całym świecie z Europą na czele. Strata dla Ameryki w razie zaniechania spłaty europejskich długów wojennych wynosiłaby ok.

300 milj. dol. rocznie, ale wszakże podatek dochodowy z 2.331 milj. dol. w 1928 — 29 r. spadł w Stanach Zjedn. do 1,057 milj. dol. w 1931 — 32 r., zniżka zaś wpływów celnych wyniosła 274 milj. dol. a więc nieomal tyle, ile wynosi annuitet długów wojennych. Nie należy również tracić z oczu faktu, że zagraniczne lokaty Stanów Zjednoczonych, których rentowność i zwrot zależą od dobrobytu gospodarki światowej, stanowią ok. 15 miljardów dolarów, z czego mniej więcej 5 miljardów znajduje się w Europie. Czyż w takim stanie rzeczy mogą sobie Stany, również dotknięte kryzysem, pozwolić na politykę lekceważenia sytuacji finansowej dłużnika?....

Po czwarte — i na tem zakończymy nasze wywody — Europa wykazała na konferencji w Lozannie całą swą dobrą wolę, stwierdzając, że do poprawy stanu ekonomicznego niezbędne są nawet daleko idące ulgi, biorące pod uwagę sytuację materjalną, w jakiej się znalazł dłużnik, tj. Niemcy. Po tej drodze, należałoby sobie życzyć, powinny w stosunku do Europy pójść Stany Zjednoczone. Czy to będzie metoda odroczenia — aż do czasu wyraźnej poprawy gospodarczej — płatności długów wojennych, czy — jak się projektuje w angielskich kołach finansowych — konwersja zobowiązań, istniejących z tytułu omawianych długów i ulokowanie papierów, pochodzących z konwersji, na rynku amerykańskim, czy też zastosowane zostaną inne środki aż do skreślenia choćby tylko części zobowiązań włącznie — każdy z nich będzie napewno lepszy od dzisiejszej nieustępliwej polityki Stanów Zjednoczonych, polityki ciasnej, krótkowzrocznej i hamującej regenerację rozwoju życia gospodarczego.

ALEKSANDER K. IVANKA

„NIKT NIE JEST PROROKIEM W SWOIM KRAJU"

Wobec tego, że rozwój poszczególnych gałęzi wytwórczości w Polsce jest uzależniony od falowań konjunktury światowej, jest zbędne tworzenie programu dynamicznego, mającego ten rozwój na celu.

W zakresie formułowania programu gospodarczego jako szczególnie doniosłe, traktuje się wytyczne rozwojowe. Ku czemu Polska ma iść?

Samowystarczalność zbożowa, len zamiast bawełny, rozwój eksportu węgla, nafty, cukru, jaj, rozbudowa przemysłu, rozwój przemysłu ludowego, inwestycje samorządowe o charakterze użyteczności publicznej, bezmała — szklane domy. Na północy handlować będziemy owocami południowemi, na południu skórami i futrami z północy. Każda branża gospodarcza wysuwa swój wniosek, snują się przeróżne programy dynamiki rozwoju gospodarstwa społecznego Polski.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że programy gospodarcze, mające charakter „dynamiczny", tj. wytyczające kierunki rozwojowe gospodarstwa, mają szczególnie atrakcyjną siłę. Jakież bowiem może być bardziej interesujące pytanie, niż to „co będzie?" Ale program gospodarczy nie jest żadnem deterministycznem ujęciem ewolucji, jest programem, a więc sformułowaniem „tego, co być powinno". Jest więc zespołem celów i środków do ich realizacji. W gospodarstwie społecznem, jak wiadomo, rozwija się ta gałąź wytwórczości, która jest rentowna. Rozwój ten może odbywać się bądź samorzutnie, bądź też jako wynik oddziaływania celowego. To oddziaływanie celowe, o ile nie jest skutkiem decyzji doraźnej, lecz przejawem bardziej ogólnych z sobą sharmonizowanych założeń, ma wtedy charakter działania programowego. Cele programu mogą być różne: samowystarczalność gospodarcza, uprzemysłowienie, rozwój eksportu itd., środki natomiast zogniskują się zawsze w jednem: w skoncentrowaniu istniejącego zapasu energji społecznej (a przedewszystkiem przesunięcia dochodu społecznego) na rzecz realizacji celu zamierzonego w programie.

Czy można sformułować w Polsce realny *program dynamiczny?*

Jeżeli treścią programu miałoby być określenie rozwoju konkretnych dziedzin wytwórczości i to na dłuższy okres czasu, to nie wydaje mi się możliwem, aby tak skonstruowany program mógł być realny. Tworzenie wytycznych rozwojowych pewnych gałęzi wytwórczości na dłuższą metę może mieć miejsce tylko wtedy, gdy istnieją dane pozwalające domniemywać, iż wspomagana początkowo gałąź produkcji będzie w następstwie gałęzią samorentującą się. Takie wytyczne rozwojowe najłatwiej jest tworzyć dla krajów posiadających obfite bogactwa naturalne, których możność łatwej i zyskownej eksploatacji zarysowuje się na czas dłuższy. W takiej sytuacji znajdowały się Stany Zjednoczone A. P. w XIX w., będąc terenem ekspansji kapitału europejskiego. Nie przedstawiało przeto trudności stworzenie dla Stanów programu dynamicznego, polegającego na industrjalizacji kraju i to w konkretnych dziedzinach: węgla, nafty, żelaza i stali. Program dynamiczny można było tworzyć tam, gdzie istniały rozległe rynki zbytu i możność ich eksploatacji. W takiej sytuacji znajdowała się Francja za Colberta i Anglja na przełomie XVIII i XIX wieku. Polityka kolonjalna tych krajów umożliwiała tworzenie programu dynamicznego — ekspansji przemysłowej. Wreszcie nie było trudnem formułować program dynamiczny w pierwszej połowie XIX w., Europa dopiero zaczynała się kapitalizować, a międzynarodowa współzależność procesów gospodarczych prawie nie istniała. W takiej sytuacji były Niemcy, które mając w początkach XIX w. słabe zaludnienie i typ gospodarczy rolniczy, poszły w kierunku uprzemysławiania się.

Jakżeż odmiennie kształtują się warunki dziś, zwłaszcza w odniesieniu do Polski.

Nie jesteśmy krajem o obfitych bogactwach naturalnych, nadających się do łatwej i zyskownej eksploatacji, nie mamy rynków zbytu, korzystnych dla ich wykorzystywania — nie posiadamy kolonij. Nie jesteśmy wprawdzie krajem uprzemysłowionym, lecz silnie uprzemysłowioną jest cała Europa zachodnia, mamy zaś w porównaniu do krajów rolniczych Europy wschodniej gorsze gleby. A przedewszystkiem rentowność naszych warsztatów jest związana z falowaniem rentowności gospodarstwa światowego, gdyż naskutek rozwoju techniki produkcji, transportu, wymiany i kredytu poszczególne gospodarstwa narodowe stały się cząstkami gospodarstwa światowego. W tych warunkach program dynamiczny rozwoju poszczególnych dziedzin wytwórczości, o ile byłby układany na długą metę, stawałby niejednokrotnie wobec faktu zmian warunków rentowności naskutek falowań międzynarodowej konjunktury. W okresach depresji gospodarczej podtrzymywanie rozwoju objętej programem dziedziny wytwórczości musiałoby się nadal odbywać kosztem przewłaszczania dochodu z innych dziedzin. Przy szczególnie silnej depresji w „programowej" dziedzinie wytwórczości stawałoby się to niemożliwością, powodując konieczność odstępstwa od obranego programu. Gdyby np. u zarania powstania Państwa Polskiego był przyjęty program dynamiczny, w którym przewidziany byłby rozwój przemysłu drzewnego, to przy obecnej międzynarodowej derucie cen na drzewo nie dałby się on utrzymać. Tak więc przy układaniu programu dynamicznego na dłuższą metę, trzeba byłoby się liczyć z falowaniami światowego cyklu gospodarczego, a to oczywiście jest niemożliwe — „nikt nie jest prorokiem w swoim kraju". W wieku XIX, kiedy istniał wyraźny trend rozwojowy, czynic było to niepomiernie łatwiej niżeli obecnie, gdy występuje zjawisko krótkotrwałego cyklu gospodarczego.

Ale nietylko okoliczność niemożności realizowania programu naskutek silnej depresji i nierentowności rozwojowej gałęzi wytwórczości jest argumentem przeciwko konstruowaniu programu dynamicznego.

Gospodarstwo społeczne Polski jest gospodarstwem o braku kapitałów i wysokiej stopie procentowej, będąc jednocześnie gospodarstwem, które nie jest w stanie wysokich odsetków ponosić.*). To też naczelną wytyczną polityki gospodarczej jest i musi być wzrost własnych kapitałów i zniżka stopy procentowej. Tymczasem istnienie programu dynamicznego na dłuższą metę i konieczność interwenjowania celem utrzymywania rentowności objętej programem gałęzi wytwórczości musiałoby powodować przewłaszczanie dochodu społecznego na rzecz danej branży, opóźniając tem samem proces kapitalizacji i obniżania się stopy procentowej.

Tak więc rozważania doprowadzają nas do wniosku, że skierowanie programu dynamicznego na dłuższą metę nie wydaje się celowe, a nawet możliwe. *Rozwój poszczególnych gałęzi wytwórczości będzie nieuchronnie związany z falowaniem międzynarodowej konjunktury gospodarczej.*

Należy podkreślić jeszcze jeden czynnik uniemożliwiający tworzenie programu dynamicznego na dłuższą metę — czynnikiem tym jest postęp techniczny w skali współczesnej, powodujący daleko idące przeobrażenia warunków ekonomicznych. Dziedzina syntetycznego tworzenia surowców, dziedzina, będąca dopiero w fazie początkowego rozwoju, zaledwie wychodząca z laboratorjów na teren fabryczny, może z gruntu pozmieniać możliwości gospodarcze poszczególnych branż w poszczególnych krajach.

Każde rozumowanie ekonomiczne może być prowadzone tylko przy założeniu „caeteris paribus" t. j. przy założeniu, że pewne czynniki pozostają niezmienione. Dziedziną, liczbą przedewszystkiem ekonomja w rozumowaniu swem traktuje jako „caetera pares", jest technika produkcji, kktórej ewolucji oczywiście przewidzieć nie można. Rozumowanie ekonomiczne pierwszej połowy XIX wieku w tej płaszczyźnie biorąc, było znacznie łatwiejszem do prowadzenia.

Skoro więc został wyeliminowany program dynamiczny na dłuższą metę z ram realności, powstaje kwestja, czy na jego miejsce nie powinien przyjść program dynamiczny na krótką metę. I to wydaje się wątpliwem, gdyż meta owa, zważywszy na falowanie konjunktury, wynosiłaby 1 — 2 lat, a więc okres zbyt krótki na realizowanie „programu", sprzyjający natomiast raczej decyzjom doraźnym, w ramach rentowności, wytworzonej przez konjunkturę. Będzie to zaś zaprzeczeniem charakteru „programowości", z natury swej charakteryzującej się postawieniem celów bardziej odległych i realizowanych niezależnie od istniejących przeciwieństw.

Cóż więc można powiedzieć o potrzebie programu dynamicznego w Polsce?

Sądzę, że program taki jest zbędny a ew. skupianie wysiłków dla skonstruowania go — niecelowe. Trudno — rozwój poszczególnych gałęzi wytwórczości będzie uzależniony od falowań konjunktury międzynarodowej.

Oczywiście, może zauważyć ktoś, iż w każdym razie pozostanie otwartą sprawa przygotowywania pewnych gałęzi wytwórczości do walki konkurencyjnej na rynkach zagranicznych. Niewątpliwie, lecz jest to problem obniżki kosztów produkcji, a przez to samo, staje się to zagadnieniem nie programu dynamicznego, lecz programu *statycznego*. W nim też leży istota zagadnień rozwojowych gospodarstwa społecznego Polski.

Współczesne warunki gospodarcze świata nie sprzyjają tworzeniu programu dynamicznego, każdy taki program musiałby ulegać nieustannym zmianom ze względu na zmiany rzeczywistości gospodarczej. W ten sposób następowałaby zatrata energji włożonego w konstrukcję programu dynamicznego i zdyskredytowanie ogłoszonych tez, które przy innym układzie zjawisk znowu mogłyby okazać się słusznemi. Być może, że wystąpiłoby w skali społecznej i inne zjawisko, jeszcze bardziej ujemne, dyskredytacja „programów" wogóle. W każdym razie jeden fakt byłby niewątpliwy i niewątpliwie ujemny: wysiłki nad stworzeniem programu dynamicznego odbywałyby się kosztem rozmiaru prac nad programem statycznym. *A ten ostatni jest najważniejszy.*

*) Punkt ten będzie rozwinięty w osobnym artykule.

JÓZEF PONIATOWSKI

SAMOWYSTARCZALNOŚĆ A EKSPANSJA

Są kraje, które mogą sobie pozwolić na program samowystarczalności gospodarczej, rezygnując w znacznej mierze z ekspansji. Polska do tych krajów nie należy.

Nie wszyscy uznają istnienie przeciwstawności pomiędzy dążeniem do samowystarczalności i dążeniem do ekspansji gospodarczej. Są działacze o wykształceniu ekonomicznem, są publicysci gospodarczy, co gorsza są nawet rządy, które oba te dążenia pragną realizować w stopniu maksymalnym (Stany Zjednoczone, Niemcy, Włochy faszystowskie), nietylko nie szukając między niemi kompromisu, ale raczej uważając autarchję za normalną podstawę do ekspansji. Ten ostatni pogląd bywa popierany zwłaszcza przykładem historji gospodarczej Niemiec w XIX w., gdy zaniechanie polityki liberalnej i wprowadzenie ochrony własnego rynku, propagowanej przez Fr. Lista i szkołę narodową, dało podstawy dla potężnego rozwoju przemysłu, a w dalszej konsekwencji do ekspansji towarowej i kapitałowej. Ponadto dążenie do możliwie najzupełniejszego uniezależnienia się od innych, a największego uzależnienia ich od siebie jest właściwe większości ludzi i większości państw, jest potężnym motorem ich działalności, a spór o to, czy takie dążenie jest usprawiedliwione wydaje się dość jałowym.

Jednakże już w polityce istnieje wyraźna przeciwstawność między dążeniem do niezależności własnej i do wpływania na losy innych. Wprawdzie rozwijanie własnych sił, zwiększanie swego ciężaru gatunkowego, ułatwia oba te dążenia. Pozostaje jednak faktem, że polityka izolacji zawiera pierwiastek rezygnacji z dominującego wpływu na to, co się dzieje nazewnątrz, a polityka wybitnie imperjalistyczna musi rezygnować z tego spokoju i bezpieczeństwa, które dać by mogła niektórym krajom izolacja. Wiemy, jak duże znaczenie dla polityki światowej ma przewaga jednego albo drugiego kierunku w Stanach Zjedn. lub w Wielkiej Brytanji. Konieczność izolacji państwa Sowietów, stanowiąca techniczny warunek swobody kształtowania jego stosunków wewnętrznych, realnie zahamowała ekspansję systemu, który w swem założeniu musi dążyć do jaknajszerszej ekspansji. Rzeczywistość ustala zawsze jakiś kompromis, bliższy jednego albo drugiego założenia, ale mądrzej jest, gdy się ten kompromis oznacza świadomie.

W dziedzinie gospodarczej przeciwstawność haseł jest z pewnością nie mniejsza niż w dziedzinie czystej polityki. Gospodarstwa naturalne zawsze stanowią bierny, nie zaś czynny element wewnątrz każdego kraju. Podobna rola musiałaby przypaść jednostkom autarchicznym w społeczeństwie światowem. Nie mówiąc już o tem, że autarchja jednych zmusza do autarchji innych, a przy pełnej autarchji wszystkich ustałby wogóle obrót międzynarodowy i zniknęłaby wszelka możliwość ekspansji, pomijając również trudności psychiczne skierowania energji w dwóch sprzecznych kierunkach, istnieją zupełnie realne przyczyny gospodarcze, dla których odgradzanie się od wszelkiego importu musi znacznie osłabiać zdolność eksportową. Gdyby nawet polityka samowystarczalności nie powodowała retorsyj i nie utrudniała innym krajom nabywania towarów kraju samowystarczalnego, to w każdym razie musi ona wywołać dotkliwe zmniejszenie zdolności konkurencyjnej tych towarów, już przez samo podniesienie kosztów ich wytwarzania.

Kraj samowystarczalny wytwarza obok tych dóbr, których koszty produkcji ze względu na objektywne warunki nie powinny tam być wyższe niż w innych krajach, także te dobra, które gdzieindziej są wytwarzane i sprzedawane znacznie taniej. Obciążają więc całość swego gospodarstwa społecznego niepotrzebnym, a znacznym kosztem. Tak np. zrealizowanie modnego hasła zupełnego zastąpienia obcych surowców włókienniczych w Polsce przez surowce krajowe obciążyłoby całość gospodarstwa społecznego dodatkowym kosztem paruset miljonów złotych, a więc nietylko zlikwidowałoby odrazu wywóz przędzy, tkanin i odzieży, czemu ostatecznie mogłaby przeciwdziałać instytucja obrotu uszlachetniającego, ale podniosłaby koszty wszelkiej produkcji i wymiany. Nie przypuszczam, aby najzapaleńsi autarchiści żądali hamowania importu rud, cynku i żelaza, albo szmelcu, ale prohibicyjne stawki celne na większość maszyn i narzędzi, na ważne artykuły chemiczne, na środki komunikacji, to są zupełnie skuteczne hamulce ekspansji polskiego towaru.

Przytoczony przykład polityki gospodarczej Niemiec w XIX w. bynajmniej nie przeczy powyższym tezom. Szkoła narodowa niemiecka słusznie wskazała, że w kraju rolniczym i ubogim w kapitały, a zalewanym przez tanie wytwory przemysłowe, pewne osłabienie obcej konkurencji jest warunkiem rozwinięcia własnego przemysłu. Ale *umiarkowaną ochronę* dzieli od autarchji dystans równie wielki jak umysłowość Fr. Lista od umysłowości p. Schiego. W ciągu drugiej połowy XIX w. i pierwszych lat XX w. nietylko rozwinął się przemysł niemiecki, ale wzrósł także import do Niemiec, wzrósł nawet szybciej od eksportu, dając ujemne saldo bilansu handlowego, przy wielkim obrocie, jakże tu więc można mówić o samowystarczalności!

Od połowy XIX w. stosunki zmieniły się do dni naszych jeszcze o tyle, że kolonjalne rynki zbytu stały się terenem równie ostrej walki konkurencyjnej, jak ta, której widownią były już wcześniej kraje europejskie. Zamknął się prawie rynek rosyjski i przymknął się rynek Stanów Zjednoczonych, które wzamian wzmogły nacisk swej konkurencji. Dziś, zwłaszcza przy panującej w całym świecie psychozie samowystarczalności, wszelki wywóz jest niezmiernie utrudniony i o zdolności konkurencyjnej można marzyć tylko przy skupieniu wszystkich czynników, które mogą obniżyć koszty własne. Często się wprawdzie słyszy, że o rozmiarach eks-

portu nie decydują dziś koszty własne, bo panuje sprzedaż na obcych rynkach poniżej tych kosztów, ale i tu tkwi poważne nieporozumienie. Dumping zaciemnia związek pomiędzy gospodarczym efektem wywozu a kosztami wytwarzania, ale bynajmniej tego związku nie niszczy. Nawet w wypadkach skrajnych, gdy eksport ma charakter „ofiary na rzecz interesu publicznego", wskutek czego eksporter otrzymuje w tej lub innej formie rekompensatę strat i wie, że przy większych stratach otrzyma wyższą rekompensatę, nawet wówczas niezależność eksportu od kosztu własnego jest tylko pozorna. Jest bowiem oczywiste, że przy wysokich kosztach własnych strata jest większa, a jeśli jej nie ponosi zainteresowany przemysł to ponieść ją musi społeczeństwo. Zdolność społeczeństwa do pokrywania strat na dumpingu jest wszakże ograniczona, to też im wyższe są straty na jednostce towaru, tem mniejszy eksport można w ten sposób sfinansować. W wielkiej liczbie wypadków forma dumpingu jest łagodniejsza: cena uzyskiwana zagranicą jest niższa od przeciętnych kosztów własnych na jednostkę towaru, ale pokrywa koszty zmienne, umożliwiając lepsze wyzyskanie kapitału zainwestowanego. Wtedy zależność rozmiarów eksportu od kalkulacji kosztów własnych jest prawie równie prosta, jak przy eksporcie pozbawionym cech dumpingu. Ta ostatnia forma, pomimo wszystko, jeszcze istnieje, oczywiście w dziedzinach produkcji nieskartelizowanej. Im bardziej będziemy się zbliżać ku samowystarczalności, możliwej tylko w cieplarnianej atmosferze cen wysokich, tem bardziej zanikać musi eksport rentowny, pozostawiając jedynie najjaskrawsze formy dumpingu. Przy *umiarkowanej* ochronie celnej dumping nie może przekroczyć granicznej różnicy ceny wewnętrznej i eksportowej, przy której wywieziony towar wracałby masowo do kraju.

Samo stwierdzenie przeciwieństwa między polityką samowystarczalności, a polityką ekspansji, nie stanowi jeszcze o wyborze jednej lub drugiej drogi, albo o charakterze kompromisu, który należałoby między niemi oznaczyć. Wybór ten zależy oczywiście od warunków geograficzno-gospodarcz. danego kraju, oraz od celów jakie przed sobą dane państwo stawia. Trudno sobie wyobrazić kraj, w którego interesie leżałaby zupełna i zwłaszcza trwała samowystarczalność. Można się natomiast zgodzić, że dla obszarów o klimacie dopuszczającym duże zróżnicowanie produkcji, bogato uposażonych w surowce, nieco izolowanych geograficznie, położonych niekorzystnie w stosunku do głównych terenów handlu światowego i eksploatowanych dowolnie przez kapitał cudzoziemski, czasowe ustalenie kompromisu na korzyść polityki izolacji może być korzystne. Długa izolacja Chin nie wyszła im na dobre, ale zdaje się, że próba „polityki drzwi otwartych" okazała się dla tego kraju jeszcze bardziej katastrofalną i jeżeli dojdzie tam kiedyś do władzy silny rząd odrodzenia narodowego, niechybnie będzie musiał zacząć od „przymknięcia drzwi" podobnie, jak to już uczyniła Turcja Ghazi - Kemala. Już wyżej wspomniałem o konieczności izolowania się ZSRR. Być może, zwiększenie samowystarczalności leżałoby w interesie Indyj Wschodnich, gdzie zresztą dążenie to wiąże się naturalnie z ruchem niepodległościowym. Można sobie dalej wyobrazić szereg krajów, które na upartego mogą sobie pozwolić na politykę samowystarczalności, chociaż na niej nie zyskają, a nawet tracą. Tu należą bądź kraje bardzo bogate o zróżnicowanej produkcji, jak Stany Zjednoczone, bądź też kraje izolowane o małej skali potrzeb, słabem jeszcze tempie życia gospodarczego, jak Hiszpanja. Podzielone są zdania, czy Imperjum Brytyjskie byłoby w stanie stać się organizmem samowystarczalnym, w każdym razie mielibyśmy tu do czynienia z tak wielką ofiarą gospodarczą na rzecz wspólnego celu politycznego, że trudno sobie wyobrazić dalekie posunięcie tego eksperymentu.

Trzecią i najliczniejszą grupę stanowią kraje, które czy to położenie geograficzne, czy brak surowców, czy klimat zmuszający do jednostronnej produkcji, czy dotychczasowy rozwój gospodarczy skłaniają do ożywionej wymiany z innemi krajami. Dla tej grupy samowystarczalność byłaby bądź połączona z ogromnem zubożeniem kraju, bądź wogóle nie dałaby się zastosować. Tu należy zaliczyć przedewszystkiem całą środkową i północno - zachodnią Europę. Dobrobyt krajów okalających morze Północne powstał z handlu międzynarodowego i każde osłabienie tego handlu jest tam dotkliwie odczuwane. Nadto bezpieczeństwo polityczne krajów niedość potężnych, by się przed każdą próbą inwazji obronić, stanowiących zaś ze względu na swe położenie łakomy kąsek, polega w znacznej mierze na tem, że są dobrymi klijentami i dzięki temu ich istnienie jest światu potrzebne.

Rzut oka na mapę Europy, uczy, że Polska, chcąc się izolować od kontaktów ze światem zewnętrznym, miałaby zadanie niezwykle utrudnione. Zarówno położenie, jak długość granic, przeważnie otwartych, raczej zachęca do najbardziej ożywionej wymiany. Charakter polityczny sąsiadów, jak i prowadzona przez nich polityka gospodarcza utrudniają wprawdzie ożywienie stosunków, ale kurs polityki nie musi być wieczny, a nadto, dopóki sąsiedzi go nie zmienią, wynika stąd poważny znowu motyw polityczny, aby nie być w świecie owym „płazem w skorupie" z mickiewiczowskiej Ody do Młodości. Pod względem charakteru dzisiejszego życia gospodarczego Polska nie jest bynajmniej krajem o wszechstronnym i równomiernym rozwoju wszystkich elementów. Brak jej wielu podstawowych surowców, niektórych gałęzi przemysłu, wreszcie kapitału. Posiada nadmiar (w stosunku do potrzeb wewnętrznych) produktów zwierzęcych, niektórych roślinnych, przebudowane przemysły: spożywczy (zwłaszcza gorzelnictwo, cukrownictwo i młynarstwo), drzewny, włókienniczy, hutnictwo cynkowe. Pomijam węgiel, hutnictwo żelazne, cement, superfosfaty w mniemaniu, że dotychczasowa produkcja tych gałęzi mogłaby się pomieścić na rynku wewnętrznym, co wszakże wymaga znacznego zwiększenia jego pojemności. Naiwnem byłoby przypuszczenie, że można dowolnie przenieść kapitały z gałęzi pracujących na eksport do gałęzi niedorozwiniętych. Takie przenoszenie byłoby połączone z olbrzymią stratą kapitału, a wiemy, że kapitał jest tym czynnikiem produkcji, który się w Polsce znajduje w minimum i brak kapitału powoduje niewyzyskanie pozostałych czynników: pracy i warunków przyrodzonych.

Można powiedzieć, że skoro Polska w chwili obecnej jest już krajem prawie samowystarczalnym, mając import miesięczny na głowę ludności wartości około 2 zł. i stojąc pod tym względem niemal

na szarym końcu narodów europejskich, to dalsze osiąganie samowystarczalności nie wywoła większych wstrząsów. Trzeba jednak pamiętać, że do tej dzisiejszej samowystarczalności struktura gospodarcza Polski się bynajmniej nie przystosowała, a niemożność eksportu już jest bardzo poważnym czynnikiem pogłębiającym kryzys. Nie mniej ważnym czynnikiem, działającym w tym samym kierunku, jest izolacja kapitałowa naszego kraju, niewątpliwie związana z zanikiem obrotów towarowych.
Nie należy także lekceważyć czynnika wychowawczego, tkwiącego w każdym systemie politycznym. Ekspansja gospodarcza przy równoczesnem dopuszczeniu obcej konkurencji na własnym rynku wzmaga przedsiębiorczość, inicjatywę — te właśnie cechy, których brak daje się tak boleśnie odczuwać w naszem życiu, nietylko gospodarczem. Izolacja, wynikająca z samowystarczalności, to polityka ślimaka, ona też wychowuje w społeczeństwie psychikę ślimaczą. A to już byłoby nietylko nieprzyjemne, ale w naszem położeniu także nadzwyczaj niebezpieczne.

STEFAN BUCZKOWSKI

WIERZYCIELE i DŁUŻNICY

Primum vivere — deinde solvere.

I.

Powyższa trawestacja znanej, tak bardzo odpowiadającej duchowi starożytnych Rzymian, maksymy, jest — że tak powiem — kwintesencją ustosunkowania się szerokich mas do zagadnienia kryzysu w jego fazie aktualnej. Jest równocześnie wyrazem jednego z najbardziej demoralizujących skutków kryzysu: psychozy niepłacenia. Stosunki istotnie układają się w ten sposób, że w grupie np. czterech osób, zalegających w danej chwili z zapłatą swych zobowiązań, dwie znajdują się w rzeczywistej niemożności płacenia, trzecia znajduje się w częściowej niemożności płacenia z tej przyczyny, że nie zdołała ściągnąć swej wierzytelności od tamtych osób, a czwarta może płacić, ale nie chce, gdyż niewypłacalność tamtych trzech stworzyła atmosferę „niepewności", która według jej mniemania daje moralne prawo do zwlekania z zapłatą przynajmniej aż do czasu, kiedy na widowni ukaże się egzekutor. W tej psychozie niepłacenia jest oczywiście bardzo wiele spekulacji na to, że od wierzyciela uzyska się mniejsze lub większe ulgi, co będzie traktowane, jako „zysk netto". Spekulację tę rzeczywiście coraz częściej spotyka powodzenie.
Tyle dla podkreślenia, że w chwili obecnej obserwujemy w stosunkach kredytowych „prawo lawiny" jeśli chodzi o niedopełnianie zobowiązań przez dłużników. Wspomnieliśmy przytem, że obok dłużników, rzeczywiście niemogących płacić, istnieje duża liczba dłużników, którzy nie chcą płacić. Z punktu widzenia wierzyciela podział ten jest omal obojętny, a granica między obu typami dłużników zupełnie zaciera się, skoro przymusowa realizacja wierzytelności w stosunku do jednych i drugich daje takie same nikłe efekty, bo środki egzekucyjne, wobec masowości zjawisk, stają się bezskuteczne. Faktem jest, że tą drogą dokonywuje się w coraz szerszej i coraz groźniejszej masie zamrażanie kredytów i zkolei następuje t. zw. samoczynna likwidacja długów. Tym procesom dynamicznym z natury rzeczy towarzyszą równie masowe i nie mniej groźne procesy strukturalne. Stąd problem długów wzrasta dziś do rozmiarów pierwszorzędnego zagadnienia polityczno - gospodarczego, które każde z państw stara się na własną rękę i na swój sposób rozwiązać.
Rok temu na łamach tego samego pisma („Gosp. Nar." Nr. 15) w artykule pt. „Drogi wyjścia z kryzysu" stwierdziłem: „*Bez rozwiązania problemu długów wszelka akcja w kierunku poprawy konjunktury, a w szczególności zahamowania spadku cen, narażona jest na niepowodzenie... Dostosowanie stanu zadłużenia do zwiększonej siły nabywczej pieniądza nie da się przeprowadzić drogą ogólnej redukcji długów w tej lub innej formie bez narażenia życia gospodarczego na katastrofalny wstrząs... Należy zmobilizować akcję kredytową nie w celu podtrzymania cen na poszczególnych rynkach, lecz przedewszystkiem celem umożliwienia konwersji zobowiązań bieżących i ogłoszenia moratorjum dla określonych długów. To co zostało zastosowane w lipcu w Niemczech, staje się dziś koniecznością, którą będą musiały zastosować wszystkie państwa dotknięte kryzysem*".
Wypadki roku bieżącego potwierdziły słuszność tych tez. Obecnie chodzi mi o nakreślenie paru uwag na marginesie niektórych zarządzeń państwowych, które bezpośrednio lub pośrednio zmierzają do rozwiązania tego węzła gordyjskiego, jakim jest problem długów. Jak dotychczas na szczęście, Aleksander Macedoński jeszcze naśladowców nie ma i dyskusja na ten temat nie będzie spóźniona.

II.

Wypada przedewszystkiem uświadomić sobie, że spadek cen jest bezpośrednią przyczyną powstania trudności płatniczych i tego wszystkiego, co ujmujemy wyrażeniem „problem długów". Im spadek cen jest większy, tem trudniejszy staje się problem bo łatwiej wierzycielowi pogodzić się z utratą 10%, niż 50 proc. swej należności. Wniosek stąd oczywisty że wszelka akcja w kierunku obniżki cen wpływa na zaostrzenie się problemu, gdyż jakkolwiek skutki jej końcowe mogą być dobroczynne, to w pierwszem stadjum przyczynia się ona niewątpliwie do wzrostu trudności płatniczych, a przynajmniej do osłabienia odporności finansowej przedsiębiorstw.
Jeżeli więc okazuje się potrzeba wywarcia nacisku na ceny określonych produktów dla zamknięcia „nożyc" to przy realizacji tego należy liczyć się z problemem zadłużenia: obniżanie cen musi następować stopniowo i powoli tak, aby przedsiębiorstwo dotknięte obniżką miało czas na odpowiednie ułożenie swych zobowiązań. Stąd zarzuty, że przeprowadzona niedawno obniżka cen artykułów monopolowych i kartelowych jest niewystarczająca, są o

tylc niesłuszne, że nie biorą pod uwagę tego bardzo ważnego momentu. Należy pamiętać, że w Polsce te przedsiębiorstwa, które jeszcze pracują, rozporządzają bardzo małemi rezerwami płynnemi, przyczem rezerwy te z dnia na dzień topnieją: dzieje się to chociażby z tego powodu, że coraz częściej odpowiadają one nie za swoje zobowiązania, lecz z tytułu żyra za zobowiązania różnych swoich klientów, a jeśli chodzi o rolników — za zobowiązania „przyjaciół", podczas gdy w warunkach normalnych do tej odpowiedzialności nigdy nie dochodzi. Oczywiście, samoczynna likwidacja długów drogą upadłości, ugód, przechodzenia przedsiębiorstw z rąk słabszych do silniejszych jest w tej chwili procesem najbardziej zdrowym i że należy go raczej popierać drogą burzenia wszelkich sztucznych monopolów rynkowych, zapewniających pewne minimum rentowności; cały szkopuł leży jednak w tem, że w ostatnim etapie akcja taka uderzy rykoszetem w banki, o których w Polsce nie można powiedzieć, że posiadają bogate rezerwy. Otóż należałoby się poważnie zastanowić nad tem, w jakiej mierze można dopuścić do załamania się naszej słabej aparatury bankowej, chociażby dlatego, aby Skarb Państwa nie stanął nagle przed nowemi, nazbyt przekraczającemi jego siły, zadaniami....

Tyle co do stosunku t. zw. problemu długów do t. zw. deflacji cen. Wejdźmy teraz nieco w dziedzinę moralności. Bo o nią zahacza też hasło: „wierzyciel musi stracić". W Polsce postulat ten rozbrzmiewa coraz silniej, panuje tylko niezgodność co do tego, co i w jakiej mierze wierzyciel musi stracić, aby zapanowała równowaga między obecnym poziomem cen, a nominalną suma zadłużenia. Domagają się odważniejsi redukcji długów, czyli nominalnej sumy kapitału pożyczonego, inni zadowoliliby się tylko daleko idącemi odroczeniami ich płatności, wszyscy zaś są za obniżeniem oprocentowania; ten ostatni pogląd przyjął Rząd i wszczął już w tym kierunku akcję.

Co o tem należy myśleć? Niewątpliwie spadek cen wywołał silną rozpiętość między nominalną wartością zainwestowanych kapitałów pieniężnych, a rentownością kapitałów rzeczowych, stanowiących realna podstawę pierwszych. Niewątpliwie najwięcej odporności na skutki przesilenia posiadaja prawa kapitałowe, których wartość nominalna, dzięki umownemu związaniu jej z wartością pieniądza, jest niezależna od innych procesów gospodarczych, jak np. od spadku cen towarów czy usług. Na tem tle powstaje silny konflikt; praw wierzyciela broni państwo, a dłużnik, uważając, że dzieje mu się krzywda, woła o sprawiedliwość, wzywa pomocy Państwa. To wołanie o interwencję stanowi silną pokusę dla Państwa, gdyż mogłoby ono przy tej okazji upiec własną pieczeń...

Już w cytowanym wyżej artykule przytoczyłem argument przeciw generalnej redukcji nominalnej sumy długów. Byłby to krok stanowczo fałszywy i w skutkach fatalny. *Należy sprawę redukcji długów pozostawić życiu samemu, które z tem się upora, nie uniknąwszy zresztą różnych niesprawiedliwości.* Ale trudno: najważniejszą rzeczą jest, aby prestiż Państwa nie był w to wmieszany. Interwencję Państwa należy ograniczyć tylko do indywidualnych wypadków, gdzie „naturalna" likwidacja długów mogłaby ugodzić ów podstawy strukturalne gospodarstwa narodowego. Powstaje tu coprawda niebezpieczeństwo, nie sądzę jednak, by w naszych warunkach mogło być ono groźne. Mianowicie wzrost trudności płatniczych w gospodarstwie prywatnem prowadzi do redukcji wzgl. likwidacji zobowiązań drogą „naturalną" (konkursy, ugody, licytacje etc.). Tej likwidacji nie ulegają i nie mogą ulec zobowiązania Państwa. Taki stan rzeczy może w przyszłości wywołać silną migrację kapitałów do gospodarki publicznej, której kapitalista prywatny będzie przypisywał większe bezpieczeństwo; stąd dalsza, mimowolna i w zasadzie niepożądana etatyzacja przedsiębiorstw, jak to już teraz obserwujemy np. w Niemczech.

Postulat ogłoszenia moratorjum dla określonych długów — ma znowu inne oblicze. Moratorjum na większą skalę nie da się przeprowadzić, gdyż takie moratorjum wymaga zmobilizowania dość dużych kredytów dla wspierania zagrożonych niem instytucyj wierzycielskich; tych kredytów nie zdołalibyśmy u nas zmobilizować i wtedy stanęlibyśmy w obliczu niewypłacalności Państwa, lub wyrażając się bardziej eufemicznie — w obliczu konieczności ogłoszenia generalnego moratorjum.

Interwencja Państwa na rzecz dłużników, wskazana tylko w indywidualnych wypadkach musi być prowadzona bardzo ostrożnie, aby nie nabrała charakteru szkodliwej w skutkach filantropji. Tylko przedsiębiorstwa mające szanse rozwoju zasługują na pomoc. *Sanowanie polega nie na upiększaniu bilansów, ani dostarczaniu kredytów ratunkowych, lecz na przywróceniu trwałej rentowności przedsiębiorstwa. Sanacja prowadzona pod innym kątem widzenia, jest zwyczajnem trwonieniem pieniędzy.*

Przejdźmy teraz do sprawy redukcji oprocentowania. Postulat, aby ogólnemu spadkowi rentowności przedsiębiorstw odpowiadał spadek dochodów z kapitałów pieniężnych, wydaje się zupełnie uzasadniony. Podnoszone obawy, że obniżka oprocentowania może wywołać ujemne skutki w zakresie kapitalizacji, nie są przekonywującą a conajmniej trącą grubą przesadą. Należałoby się jednak zastanowić, jak ma być przeprowadzona redukcja oprocentowania, w jakim stopniu i czy powinna objąć wszystkie wierzytelności. Na te pytania nie można dawać abstrakcyjnych odpowiedzi i trzeba przejść na teren konkretnego układu stosunków.

III.

Jedną z głównych trudności, leżących na drodze do opanowania postępującej depresji w Polsce jest *wysoka stopa procentowa* na rynku pieniężno-kapitałowym. Ta wysoka stopa procentowa tylko częściowo da się wytłumaczyć wysokiem ryzykiem kredytowem; główną przyczynę należy upatrywać w złej organizacji kredytu a właściwie w *braku organizacji rynku pieniężnego i rynku kapitałowego,* co sprawia, że kredytobiorca jest poddany dużej samowoli kredytodawcy, który, nie mając właściwie, konkurenta, dzierży faktyczny monopol na określonym terenie. Kto mówi o jakiejś „stopie dyskontowej prywatnej" w Polsce i o jakimś „rynku pieniężnym", ten zdradza grubą nieznajomość faktycznego stanu rzeczy. Kto zaś występuje przeciwko obniżeniu stopy dyskontowej Banku Polskiego, wychodząc z założenia, że stopa ta powinna być wyższa od stopy, panującej na „rynku", ten niewątpliwie tkwi w obłokach fantazji. Ponieważ rynek kapitałowy nie podlega u nas reglamentacji, mogłoby

się zdawać, że kursy papierów procentowych są miarodajnym wskaźnikiem stopy procentowej, panującej na polskim rynku kapitałowym. Ale i to okazuje się, przy bliższem wejrzeniu w charakter tranzakcyj giełdowych, iluzją. Nasze kursy giełdowe stoją pod przemożnym wpływem kursów polskich pożyczek zagranicą, a pozatem są wynikiem przypadku z tem, że dolną granicę stopy procentowej — stanowi stopa lombardowa Banku Polskiego — a górna granica wogóle nie istnieje. W tych warunkach np. panujący u nas system kredytu długoterminowego w postaci towarzystw kredytowych, stanowiących zrzeszenia dłużników, był oddaniem szalonemu miecza do ręki, gdyż towarzystwa te przez długi okres zupełnie nie zajmowały się pielęgnacją kursów i udzielały pożyczek każdemu, kto chciał i kto odpowiadał archaicznym warunkom statutowym. Niestety, ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na bliższe przedstawienie fatalnych skutków panującej u nas anarchji kredytowej, skutków, które przez długi czas będą się mścić.

Zapoczątkowana przez Rząd akcja w dziedzinie kredytu idzie po zupełnie właściwej drodze. Obniżenie stopy procentowej w kredycie krótkoterminowym przyniesie tylko dodatnie skutki. Obnizenie stawek od wkładów napewno nie wywoła ucieczki wkładów, gdyż dzisiaj bezpieczeństwo lokat dominuje nad rentownością; w najgorszym razie kapitały zaczęłyby szukać lokat rzeczowych — czego za zjawisko ujemne poczytaćby nie można, lub lokat — w wyżej rentujących się papierach procentowych — czego należy sobie tylko życzyć. Właśnie tą drogą przeprowadzał swego czasu sanację gospodarstwa narodowego genjalny minister Królestwa Kongresowego, Lubecki; obniżenie oprocentowania wkładów spowodowało wzrost popytu na papiery lokacyjne, co umożliwiło przeprowadzenie konwersyj.

Natomiast trudniej znacznie przedstawia się *sprawa oprocentowania długoterminowego kredytu emisyjnego.* Na tem polu akcja Rządu doprowadziła do częściowej i przejściowej redukcji procentów w kredycie rolniczym, przyczem oprocentowanie emisyj pozostało niezmienione, a pokrycie różnicy wzięło Państwo na siebie po większej części. Pozatem ukazały się dekrety z jednej strony przeciwegzekucyjne (rolnictwo, samorządy), z drugiej zaś ułatwiające procedurę egzekucyjną instytucjom kredytu długoterminowego. Ostatnim aktem jest dekret umożliwiający instytucjom kredytu długoterminowego konwersję zaległości. W tej chwili jednak zdają sobie wszyscy sprawę, że to nie rozwiązuje jeszcze problemu, a tylko odracza jego rozwiązania na jakiś czas, po którym to rozwiązanie może się okazać jeszcze trudniejsze.

Czy należy wobec tego przeprowadzić ogólną redukcję oprocentowania w kredycie długoterminowym? *Wiele względów przemawia przeciwko temu.* Redukcja oprocentowania, — jeśliby miała przynieść rzeczywistą ulgę dłużnikom, musiałaby być dość duża, a następnie musiałaby spowodować odpowiednią redukcję oprocentowania papierów lokacyjnych; wyjątek musiałyby stanowić papiery ulokowane zagranicą. Zważmy, że nominalne oprocentowanie naszych papierów jest stosunkowo niewysokie. Niemcy, mimo, że zredukowali oprocentowanie tylko do 6%, dziś bardzo żałują tego kroku, gdyż nie posunął on absolutnie naprzód sprawy oddłużenia. Przykład Niemiec należy stanowczo odrzucić.

Rozwiązania należy szukać na innej drodze. Można przypuszczać, że znacznie owocniejsze skutki przyniosłoby przedłużenie okresu amortyzacyjnego pożyczek i odroczenie płatnych w roku następnym rat amortyzacyjnych przy utrzymaniu płatności procentów w dotychczasowej wysokości. Musiałoby to pociągnąć za sobą oczywiście zawieszenie na ten rok amortyzacji odnośnych emisyj, dokonywanej i w drodze skupu z wolnej ręki i w drodze losowania. Krok ten deruty giełdowej napewno nie wywoła, gdyż posiadacz papieru w każdym razie większą wagę przykłada do płatności kuponu, niż do amortyzacji. Jeżeli kupony będą płatne regularnie w pełnej wysokości, papier pozostanie „żywy" i zawieszenie amortyzacji przejdzie niemal niespostrzeżenie. Następnie, nie należy tego robić drogą przymusową, lecz drogą porozumień z posiadaczami emisyj. Na tę drogę weszli ostatnio Niemcy, którzy na mocy specjalnego dekretu przeprowadzają redukcję oprocentowania i zawieszenie amortyzacji drogą uchwał ad hoc zwoływanych zgromadzeń posiadaczy obligacyj, przyczem uchwała powzięta większością głosów (jak w spółkach akc.) wiąże wszystkich. Ma to przynajmniej pozory legalności.

W każdym razie — niech już raczej wierzyciel straci zaufanie do tej lub innej instytucji, niżby miał je stracić do Państwa.

U W A G I

CZTERY KĄTY A PIEC PIĄTY.

Ukazała się wśród piśmiennictwa ekonomicznego polskiego nowa książka dr. F. Zweiga*). Jest to właściwie wydanie artykułów p. Zweiga, drukowanych uprzednio w „Ekonomiście", lecz należy zaznaczyć, iż ukazanie się obecnie pracy tej w całości stanowi nie tylko pożądane zjawisko dla bibljofilów, lecz jest jednocześnie przypomnieniem i podkreśleniem problemów, stanowiących rdzeń zagadnień gospodarczych dziś właśnie, kiedy zwątpienie w prawidłowość procesów gospodarczych i istnienie „nauki ekonomji" zaczyna dochodzić do maximum. „Kryzys teorji kryzysów" dał jako tytuł swej broszurze p. Litwiński, a jedno z pism zagranicznych („Revue de l'heure") umieściło artykulik pt. „Beware of economists" — strzec się ekonomistów!

Dla prof. Zweiga doktryna ekonomiczna i rzeczywistość społeczno - gospodarcza stanowią związek wzajemny. „Problemy naukowe powstają i zanikają zależnie od potrzeb życia, ich waga i znaczenie zmieniają się zależnie od zmienności rzeczywisto-

*) Ferdynand Zweig, docent uniwersytetu Jagiellońskiego: „Cztery systemy ekonomji: uniwersalizm — nacjonalizm — liberalizm — socjalizm". Wydawnictwo Towarzystwa Ekonomicznego w Krakowie, tom XLIX. 1932 r. str. 145.

ści gospodarczej". Doktryna ekonomiczna stanowi dla autora zespół teoretyczno - normatywny. „Teorja ekonomiczna nie da się oddzielić od polityki ekonomicznej". Każda teorja ekonomiczna jest przejawem i wyrazem pewnego światopoglądu.
Istniejące doktryny ekonomiczne grupuje autor w 4 grupy:
1. uniwersalizm - społeczeństwo jest duchową spólnotą, zdążającą do duchowego doskonalenia się;
2. nacjonalizm - dobro narodu — państwa stanowi najwyższe kryterjum;
3. liberalizm - społeczeństwo to suma jednostek gospodarujących swą własnością prywatną w warunkach wolności gospodarczej celem zbogacenia się;
4. socjalizm - system równości społeczno gospodarczej, realizowanej przymusem.
Odrębność systemów ekonomji przejawia się nie tylko w ujęciu normatywnem, lecz także w ujęciu zasadniczych pojęć i zjawisk: procentu, pieniądza, płacy roboczej, kryzysów itd.
W zakończeniu swej ciekawej pracy Dr. Zweig zastanawia się nad dalszemi kierunkami rozwojowemi myśli ekonomicznej: „Epoka współczesna traktowana jest, jako okres przejściowy. Nosi też ona wybitnie charakter i znamiona przejściowości, tj. charakter przejścia do nowego światopoglądu, do nowego ducha gospodarczego i nowych form gospodarczych. Charakter przejściowy w zakresie idei i światopoglądu może najsilniej występuje w postaci zaciętej walki wszystkich czterech systemów ekonomji pomiędzy sobą! „Obserwując gatunkową wagę tych sił i ich dynamikę, odnosi się jednak wrażenie, iż najpotężniejszemi siłami dynamicznemi, które kształtować będą losy naszej cywilizacji, są nacjonalizm i socjalizm. Siły te wspierają się wzajemnie i wzmacniają i nie jest rzeczą wykluczoną, że jakaś kombinacja tych sił opanuje na pewien czas rzeczywistość społeczno - gospodarczą naszej cywilizacji. Byłoby jednak rzeczą przedwczesną chcieć dziś już wydawać o tem sąd — w szczególności sąd, czy zwycięstwo to będzie na dłuższą metę, tj. okaże cechy trwałości" (str. 145).
Cóż można o pracy Prof. Zweiga napisać?
Możnaby podkreślić jasność wykładu, bogactwo materjału, efektowność i oryginalność klasyfikacji, cechy stanowiące zalety książki. Możnaby polemizować z powodzeniem lub (po replice dr. Zweiga) bez powodzenia co do poszczególnych myśli pracy. Słowem — napisać „recenzję". Lecz „Gospodarka Narodowa" nie umieszcza recenzyj. Jeżeli jest omawiana książka, która się ukazała, to właściwie omawianą jest nie książka, lecz problem główny, przez nią wysunięty, problem, który stanowi zasadniczy element w kształtowaniu sęi polityki gospodarczej.
Po przeczytaniu pracy dr. Zweiga dzisiejszy stan myśli ekonomicznej przedstawia się jako... cztery kąty a piec piąty. Cztery kąty — cztery systemy istniejących doktryn ekonomicznych, a w pośrodku piec, z którego nie wiadomo co wyjdzie, wiadomo tylko, że się w nim gotuje i warzy coś. Może piwo?...
Żyjemy w okresie ogromnego wzrostu interwencjowania państwa w życie gospodarcze, objawy tego widzi się w całym świecie. To stworzyło potrzebę, jak nigdy może dotąd, znajomości zasad ekonomji politycznej i posługiwania się niemi. Dr. Zweig wypowiada się, iż niema jednego systemu teorji ekonomji, niema i nie będzie. „Pomiędzy ekonomją liberałów, a ekonomją socjalistów niema wspólnego języka. Socjaliści nie porozumieją się z liberałami, podobnie jak ci nie porozumieją się z uniwersalistami, lub z nacjonalistami. Dyskusja nad zagadnieniami gospodarczemi pomiędzy przedstawicielami tych kierunków nie prowadzi do celu. Każdy będzie operował innemi pojęciami i co innego uważał za ważne" (str. 26).
Niewątpliwie, gdy chodzi o całość doktryny, o światopogląd, o pojęcia zasadnicze — identyfikacja tych pojęć nie nastąpi. Nie da się uzgodnić poglądu na istotę zysku Böhm Bawerka z koncepcją nadwartości Marxa. Ale istnieje w obrębie tych zagadnień, odcinek bardzo ważny i bynajmniej nie mały, który stanowić może pole zupełnej zgodności poglądów. Odcinkiem tym jest *mechanizm obrotu gospodarczego.* Każda z istniejących doktryn musi jednakowo ujmować działanie punktów złotych. Więcej — w pierwszej połowie XIX wieku istniała zgodność pomiędzy szkołą liberalną a socjalistyczną co do mechanizmu płac roboczych, aczkolwiek wnioski społeczne były wyciągane wręcz odmienne.
Ten moment bezsporności (w granicach zakreślonych istniejącem teoretycznem poznaniem) mechanizmu procesów gospodarczych jest ważny. Sugestja istnienia relatywizmu i w tej dziedzinie sankcjonowałaby każdą dowolność, usprawiedliwiałaby każdy błąd w dziedzinie polityki gospodarczej. Jak podważająco działałoby to na technikę współczesnej polityki gospodarczej świata — łatwo sobie wyobrazić.
Zbyt mało wagi przykłada się w polityce gospodarczej do analizy mechanizmu procesów gospodarczych. Zamierzone posunięcie o charakterze normatywnym uwzględniane jest zazwyczaj z bezpośrednim celem, nie analizowane są natomiast reperkusje, jakie wywoła ono poprzez mechanizm procesów gospodarczych na innych odcinkach życia gospodarczego, powodując ewentualnie saldo efektu, sprzeczne z zamierzonym celem bezpośrednim, lub niezgodność z istniejącym celem głównym. I pod jakim kątem czy z jakiego „kąta" na to by nie patrzeć, przebieg zjawisk będzie jednakowy, gdyż jednakim jest mechanizm procesów gospodarczych. Obojętne jest, czy wyznaje się tę czy inną doktrynę ekonomiczną, w zakresie operowania mechanizmem procesów gospodarczych dzielić ludzi można tylko na tych, co mechanizm znają i tych co go nie znają.
Dr. Zweig w przedmowie do swej książki zaznacza, iż „próba ta jest przyczynkiem do oceny ideologicznej treści epoki współczesnej — rozkładając treść tę na elementy, których dopatruję się w czterech systemach". Niewątpliwie, jasna i celowa klasyfikacja systemów ekonomicznych, w bardzo ładny sposób rozwinięty związek pomiędzy kształtowaniem się myśli ekonomicznej a rozwojem rzeczywistości, zanalizowanie różnic pomiędzy systemami przy stawianiu poszczególnych problematów, wszystko to wnosi książka dr. Zweiga, wprowadzając duży ład i możność orjentacji w zamieszanie nawarstwionych poglądów ekonomicznych.
Ale — w chwili obecnej nie najważniejszą jest analiza obrotu gospodarczego, ani uprzytomnienie sobie punktów stycznych i spornych poszczególnych doktryn. Najważniejszą jest sprawa owego „pieca" — ukształtowania się doktryny epoki, nowego światopoglądu jakim on będzie? W tej tylko dziedzinie czuję, że dorównywam Dr. Zweigowi — też nie wiem.

A. K. I.

SKOMPLIKOWANY PRYMITYWIZM.

Istniejące na Węgrzech moratorjum transferowe realizowane jest w ten sposób, że wierzytelności zagraniczne wpłacane są na specjalny rachunek wierzycieli zagranicznych i na nim unieruchomiane, tj. nie mogą być przekazywane zagranicę. Ostatnio, w drodze porozumienia z grupą wierzycieli angielskich ustalono metodę odmrażania tych sum w sposób nader charakterystyczny, zbliżający się mianowicie do spłat towarowych. Wierzyciele angielscy stawiają swe zamrożone należności do dyspozycji eksporterów węgierskich, umożliwiając im w ten sposób dokonanie tranzakcyj wywozowych, należność za które jest oddawana wierzycielom, a więc pozostawiana zagranicą. Eksporter węgierski otrzymuje swą należność w pengö, przy odpowiedniej redukcji zamrożonego rachunku wierzycieli zagranicznych; walutę obcą, przypadającą za eksport, przelicza się wedle kursu oficjalnego, pozatem jednak eksporter otrzymuje pewien dodatek, o wysokości zależnej od wartości gospodarczej danej tranzakcji.

Procedura ta jest interesująca już z technicznego punktu widzenia. Moratorjum transferowe jest, jeśli wiadomo, nie odmową płacenia, a jedynie odmową *przekazywania* pieniędzy zagranicę, oddaniem ich wierzycielowi, lecz bez prawa dyspozycji. W ten sposób więc zostają one bądź co bądź wycofane z obiegu gospodarczego kraju dłużniczego, względnie ich użyteczność dla tego kraju zostaje ograniczona. Omówiona powyżej procedura węgierska zezwala wierzycielowi na zużytkowanie jego własności, a mianowicie na wypożyczenie jej eksporterowi węgierskiemu. Jest to więc niejako przymusowe finansowanie wywozu prze zwierzyciela, proces w założeniu swem najzupełniej słuszny i uzasadniony. Eksporter korzysta w rezultacie z udogodnienia kredytowego, plus dodatkowe korzyści z różnicy kursów, wierzyciel otrzymuje swą sumę w walucie, lecz bez dokonania transferu. Transfer, oprócz pieniądza, zostaje zastąpiony przez wywóz towaru.

Istnieje niewątpliwa analogja do tranzakcyj kompensacyjnych i innych bezgotówkowych, ściślej beztransferowych prac handlu zagranicznego. Dotąd obserwowaliśmy takie zastąpienie dewizy skomplikowanemi rozrachunkami w jednej płaszczyźnie międzynarodowych stosunków gospodarczych, mianowicie w wymianie towarowej, związanie zaś tych dwu kwestyj — wymiany towarowej i ruchu kapitałów — próbowano, bez wielkich rezultatów, osiągnąć raczej w negocjacjach handlowych, nie szukając metod technicznych, zzewnątrz te dwie kwestje łączących. Cytowany powyżej wypadek, sam przez się drobny i incydentalny, jest jednak wielce charakterystyczny przez to, że stanowi jeden jeszcze objaw paraliżu, jakim dotknięta jest międzynarodowa wymiana kapitałów, paraliżu, zmuszającego do wynajdywania zupełnie nowych form pracy, jednocześnie prymitywnych i skomplikowanych.

w. j.

CZARNY PARADOKS.

Wiemy, że wszystkie usilowania obniżenia cen węgla na rynku krajowym rozbijają się dotąd o przekonanie czynników kierujących polityką gospodarczą, że potanienie węgla musi się odbić na zmniejszeniu produkcji, zależnej, jak wiadomo, od dumpingowego eksportu. Nie zamierzam powtarzać w tem miejscu całej argumentacji teoretycznej przeciwko temu poglądowi. Ostatnio przybył wszakże dość ważki argument natury zupełnie praktycznej. Oto w okresie prawie osiągniętej samowystarczalności Polski rozwija się pięknie jeden dział importu: import angielskiego węgla do Polski. Prasa podawała o tem wzmianki, oburzając się na brak patrjotyzmu odbiorców, wiemy również, że gra tu pewną rolę złośliwość Gdańska. Opinja skłonna jest jednak mniemać, że chodzi o drobne ilości węgla o znaczeniu raczej symptomatycznem. Według źródeł urzędowych import węgla, prawie wyłącznie angielskiego, w ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy 1932 r. wyniósł 77 tys tonn, wartości przeszło dwóch miljonów złotych. To już nie jest taka zupełna fraszka. Import ten ma wyraźne tendencje rozwojowe, w samym październiku przywieziono 9732 tonny. Zasięg węgla angielskiego w Polsce rozszerzył się daleko poza porty i obecnie np. w Bydgoszczy węgiel polski kosztuje w detalu zł. 3,30 za 50 kg., węgiel zaś angielski zł. 2,80 za tę samą ilość. Gatunek nie musi być gorszy, a przynajmniej dużo gorszy, skoro ludność węgiel ten kupuje. Wątpię, czy można budować politykę gospodarczą na mniemaniu, że ludność pozostałych miast i wsi polskich okaże się bardziej patrjotyczną niż ludność Bydgoszczy i tańszego, ale obcego węgla nie kupi. Na podobnem mniemaniu zawiodło się niegdyś t-wo Royal Dutch, gdy chodziło o sowiecką benzynę. A przecież angielskiego konsumenta benzyny stać byłoby na ofiary w imię patrjotyzmu łatwiej, niż polskiego nabywcę węgla.

„Zawodowy" liberał powie może, że ostatecznie import węgla, wywołany oczywiście poziomem cen konwencyjnych w kraju, nie jest niczem strasznem, dobrze, że chociaż w ten sposób konsument otrzyma tańszy węgiel. „Zawodowy" protekcjonista również nie będzie się długo głowił: każdy import towaru, który jest produkowany, albo może być produkowany w kraju, jest dla niego dowodem niedostatecznej ochrony celnej. Wystarczy zatem ustanowienie cła przywozowego na węgiel, w prohibicyjnej wysokości, a import niechybnie ustanie, węgiel bowiem, nawet przy dzisiejszych cenach, nie jest towarem nadającym się do masowego szmuglu.

Gdy jednak spojrzymy na zagadnienie bez wszelkich uprzedzeń i bez „pryncypjalności", musimy stwierdzić, że paradoks dzisiejszego układu stosunków w obrocie węglem ma zarówno poważne znaczenie symptomatyczne, jak i szkodliwość praktyczną. Nietylko jest marnotrawstwem przewożenie własnego węgla do morza, potem opłacanie obcym linjom frachtu i obcym pośrednikom kurtażu przy równoczesnym przywozie obcego węgla do naszych portów i rozwożeniu go po kraju naszemi kolejami. Ponadto jest to realne uszczuplanie własnego rynku, gdy ustosunkowanie pojemności tego rynku do rozmiarów produkcji jest sednem całego zagadnienia opłacalności produkcji, a zatem i cen węgla. Leczenie tego zjawiska przez proste uniemożliwienie importu byłoby oczywiście leczeniem objawów, a nie przyczyn. *Przyczyną jest zbyt wysoka cena węgla w kraju*, temu żadna djalektyka nie zaprzeczy. Jeżeli proces ten posunie się dalej, będziemy mieli do czynienia z następującem zjawiskiem: wysoka cena węgla będzie powodowała import, import będzie zwężał pojemność krajowego rynku, to zwężenie wywoła nieopłacalność dzisiejszej ceny i potrzebę jej podniesienia, co znowu zachęci do zwiększenia

importu. Jeżeli zrozumienie błędności drogi, na której się znajdujemy, zostanie dzięki importowi węgla angielskiego jaśniej uświadomione, gotów jestem uznać ten import za zjawisko błogosławione.

j. p.

BEZ BUTÓW.

Najczulszym barometrem konjunkturalnym okazał się w Polsce przemysł skórzany. Jeszcze się nikomu nie śniło o możliwościach kryzysu, jeszcze ekonomiści oddawali się złudzeniom, a w przemyśle skórzanym już działy się rzeczy niepokojące. Kryzys szedł niejako od dołu, t. zn od butów.

Stąd zapewne zainteresowanie, jakie produkcji i handlowi obuwiem poświęcił nasz Instytut Badania Konjunktur Gospodarczych i Cen, przeprowadzając przed dwoma laty specjalną, drobiazgową ankietę. Rezultaty ankiety w opracowaniu p. Wacława Skrzywana znalazły swój wyraz w obszernej broszurze p. n. „Handel obuwiem w Polsce". I gdyby nie to, że ilość zapytań była b. szczupła, że odpowiedziała zaledwie połowa zapytywanych i że tylko połowa odpowiedzi nadaje się do opracowania, opracowanie to byłoby mniej monograficzne. Mimo to skłonni jesteśmy mniemać, że nawet metoda liczb reprezentacyjnych ma w naszych warunkach dużo racyj bytu, a przedewszystkiem jest jedyna, skoro osoby czy instytucje, objęte ankietą, stoją na niskim poziomie organizacyjnym.

Produkcja obuwia w Polsce jest w gruncie rzeczy produkcją ręczną. O ile w Stanach Zjednoczonych obuwie mechaniczne stanowi 97% ogółu produkcji obuwia, a w Europie przeciętnie 88%, o tyle w Polsce nie dosięga ono nawet 10%. Na 467 milj. zł. wartości wyprodukowanego w kraju obuwia zaledwie 40 milj. zł. pochodziło z warsztatów fabrycznych. Resztę wypełnia produkcja nakładniczo - chałupnicza, zatrudniająca w/g obliczeń Instytutu blisko 12 tysięcy samodzielnych majstrów z 42 tysiącami robotników, niespełna 81 tysięcy samodzielnych, nie posiadających jednak pomocy, oraz prawie 3 tysiące chałupników.

43 fabryki obuwia mechanicznego, zatrudniają 2.700 robotników, są więc niejako małą wyspą na wielkim jeziorze pracy ręcznej. Produkują one głównie lepsze gatunki obuwia męskiego. Ich budowa handlowa, finansowa i organizacyjna nie daje im większej przewagi nad rzemiosłem. Produkcja mechaniczna opiera się na zamówieniach, udzielanych fabrykom na 2 — 3 miesiące przed sezonem. W polityce cen fabryki nie przejawiają żadnego zdecydowanego postępu i zdają się raczej ulegać powszechnemu w krajowem szewctwie bałaganowi. W każdym bądź razie obuwie mechaniczne jest stosunkowo tańsze od ręcznego. W obliczu depresji ceny jego silnie spadły: przy r. 1928 = 100 koniec 1931 r. daje już tylko 69 punktów. Fabryki nie reklamują swoich wyrobów i swojej marki, przez co publiczność jest co do obuwia mechanicznego dość słabo zorjentowana. Podkreśla to słabość przemysłu obuwianego wobec rzemiosła, które jest panem sytuacji.

Jak ten „dyktator" działa na rynku? Te 100.000 „zakładów", zatrudniających 1 — 2 pracowników (z właścicielem włącznie), wyprodukowało w 1929 r. za 19 miljonów par obuwia. Nie padają one ofiarą błędnych przewidywań, wahania konjunkturalne mało je obchodzą, ich zapasy są szczupłe, towar albo b. dobry, a wtedy niezwykle kosztowny, albo tandeta, również przepłacona. Rzemieślnik pracuje szablonowo, ulega ślepo rutynie, słabo śledzi postępy techniki i nie umie wczuć się w istotne tętno mody, konjunktury i t. p.; dzięki temu np. damskie obuwie balowe jest tak samo grube i ciepłe, jak obuwie spacerowe, a przez to o wiele droższe i musi ustąpić znienawidzonemu Bat'i. Ten ostatni jest słabym konkurentem dla obuwia mechanicznego, bronionego cłami i którego wartość zbliżona jest do wartości obuwia zagranicznego, natomiast potrafi zrujnować drobnych producentów, wytwarzających towar, być może solidny, ale ceną i wygodą ustępujący obuwiu czeskiemu, które jest gorsze, ale zato bardziej sezonowe i bardziej odpowiednie dla masowych potrzeb i wymagań. Bat'a liczy się więcej z konsumentem, aniżeli — choć to brzmi paradoksalnie — polski rzemieślnik, odrabiający każdą parę dla innego, indywidualnego klijenta.

Obuwie importowane — jak oblicza p. Skrzywan — kosztuje w Polsce wraz z cłem 35,7 zł. para, natomiast analogiczne krajowe 40,5 zł. Różnica aż nadto jaskrawa. Czy tylko rezultat dumpingu? Nie. Znaczenie Bat'i polega głównie „na wprowadzeniu w polskim handlu obuwiem nowoczesnej organizacji aparatu handlowego i metod sprzedaży" (sprawozd. str. 48). Jego obuwie stanowi pewną określoną klasę,standart, a ponieważ krajowa produkcja obuwia nie przeprowadziła dotąd standaryzacji na zasadach, stosowanych zagranicą („zagadnienie standaryzacji materjału surowego nie jest możliwe przed przeprowadzeniem racjonalizacji w przemyśle skórniczym i garbarskim" — pisze p. Skrzywan na str. 51), więc przewagi Bat'i nie można traktować symplicystycznie.

Wspomnieliśmy o handlu obuwiem w Polsce. Przedstawia się on—z ekonomicznego punktu widzenia — poprostu rozpaczliwie. Sklepów z obuwiem mamy 9.972, przez co 1 sklep przypada na 3.049 mieszkańców, gdy w Niemczech na 4.400. Skoro jednak weźmiemy pod uwagę, że każdy niemal warsztat rzemieślniczy jest również „sklepem", więc ten ostatni przypada de facto na 1.219 mieszkańców. P. Skrzywan oblicza, że 1 sprzedawca sprzedaje dziennie 2 pary obuwia: obrót handlowy na 1 przedsiębiorstwo wynosi 15.450 zł. rocznie, uwzględniając zaś i warsztaty rzemieślnicze, tylko — 9.000 zł.

Przyczyny? „Istnienie znacznej liczby drobnych jednostek wytwórczych i rozpowszechnienie nakładownictwa chałupniczego sprzyja istnieniu większej ilości drobnych sklepów" — tłomaczy p. S. Rozdrobnienie handlu obuwiem w Polsce wynika głównie z rozdrobnienia osobistych kapitałów sprzedawców, co się łączy — jak czytamy na str. 18 — „ze specyficznym składem społeczno - zawodowym ludności, które dla Polski wykazuje stosunkowo znaczny procent warstw drobnomieszczańskich". Jedyną racją bytu tych drobnych przedsiębiorstw jest „utrzymanie rodziny przedsiębiorcy, zysk odpowiada wynagrodzeniu za pracę, w małym stopniu rencie lub procentowi od kapitału" (tamże). I dlatego autor zupełnie słusznie konkluduje: „Bez uwzględnienia tego momentu *społecznego* (podkr. nasze) czysto gospodarczą politykę reform może spotkać niepowodzenie" (tamże).

Handel obuwiem w Polsce jest niemal wyłącznie handlem detalicznym; hurt i półhurt — podobnie zresztą, jak w Niemczech — jest słaby, co się tłoma-

czy zmiennością mody i słabością kapitałową. Co ciekawsze, spółdzielczość stroni zupełnie od obuwia, jednakże — i to jest najciekawsze — wyjątek w tej regule stanowi kooperacja ukraińska w Małopolsce Wschodniej, wycieśniająca z miasteczek i wsi drobny handel obuwiem i biorąca go w swe własne ręce. Nie od rzeczy będzie również wspomnieć o innej, zaobserwowanej przez p. S., okoliczności dosyć ważnej: „wypadki przechodzenia sklepu z ojca na syna są i w tej branży, jak wogóle w kupiectwie polskiem, dość rzadkie“ (str. 51).

Przeciętny asortyment składowy sklepu z obuwiem jest w Polsce bogatszy, aniżeli zagranicą. Przyczynia się do tego brak normalizacji gustów, wypływający poniekąd z naszego indywidualizmu. Stąd szybkość obrotu obuwiem w Polsce = 1,6 pary, gdy w Niemczech 2,4 pary dziennie: stąd handel obuwiem „mniej przyczynia się do kapitalizacji niż niemiecki“ (str. 33).

Jeśli chodzi o warunki kredytowe, to większe przedsiębiorstwa detalicznego handlu obuwiem kupują towar w 11% za gotówkę, a w 89 proc. na weksle 3 — 6 miesięczne, klijenci zaś nabywają towar w stosunku wręcz odwrotnym. Tak więc stroną finansującą handel obuwiem jest producent, handel zaś (nie mówiąc o bankach) gra tutaj rolę pasywną. Sprzyja to niewątpliwie faktowi, że w okresach „prosperity“ producent stwarza sobie rezerwy, podnosząc nadmiernie ceny, a potem w czasie depresji pozbywa się towaru za byle co. W detalu natomiast „zniżka cen o charakterze konjunkturalnym przybiera najczęściej formy opustów od ceny cennikowej“ (str. 24). Jest to już konsekwencja systemu targowania, zwyczaju, zakorzenionego zwłaszcza w handlu żydowskim. Konkurencja? Jej „punctum saliens“ polega na „rozpiętości cen towaru, zbliżonego wyglądem“ (str. 47). Konsument orjentuje się słabo, „leci“ jedynie na cenę, nie biorąc pod uwagę stosunku ceny do wartości obuwia. Mimo to ceny są zbyt wysokie, tamując konsumcję.

Jak sprzedawca kalkuluje? Na to pytanie wogóle nie można odpowiedzieć. Jeden do ceny własnej dorzuca 13%, drugi40 proc.; rozpiętość ceny jednego i tego samego towaru w różnych sklepach w jednem mieście jest b. duża. Koszty handlowe są u nas niższe, aniżeli w Stanach Zjednoczonych i Niemczech (20,4% obrotu wobec 27,8 proc. i 23,3 proc.), głównie dzięki niskim płacom i pensjom (7,1% wobec 10,8 proc. i 8,6%); personel sklepowy jest przeważnie młody, niewyrobiony i źle wykorzystany. Podatki są względnie wysokie: w Polsce 3,4% obrotu, w Stanach Zj. — 0,7 proc., w Niemczech 1,6%. Kupcy nie skarżą się — czytamy w Sprawozdaniu — na podatek obrotowy (gdyż zapewne wymierzono go zbyt nisko), uskarżają się natomiast na podatek dochodowy (wymierzany raczej od dochodu brutto, a nie netto).

A konsekwencje powyższego stanu dla produkcji i konsumcji krajowej? Rozproszony, słaby wytwórca jest płochliwy i niepewny: różnica poziomu produkcji obuwia mechanicznego pomiędzy okresem depresji a okresem ożywienia dochodzi do 200 proc. Wytwórca utyskuje i zwala winę na import: w 1928 r. ten ostatni sięgał zaledwie 4 proc. (wartość ca. 18 milj. zł.), przyczem Bat'a konkurował głównie obuwiem damskiem i gorszem, lżejszem obuwiem męskiem, wyroby zaś droższe i luksusowe sprowadzała bezmyślną siłą tradycji ludność pogranicza Małopolski i Górnego Śląska. Wywóz, który przed wojną był b. duży (Królestwo K. wysyłało do Rosji obuwia za 20 kilka miljonów rubli rocznie), obecnie zmalał i w 1928 r. nie przekraczał 300 tys. zł.

W rezultacie konsumcja obuwia w Polsce sięgała w najlepszym roku (1928) zaledwie 21,4 milj. par wartości ca. 485 milj. zł. Daje to na 1 mieszkańca rocznie *0,7 pary,* podczas gdy w Niemczech 1,3 p., we Francji 1,0 p., w Czechosłowacji 1,2 p., a w Stanach Zj.— 2,6 p. Uwzględniając przeciętne ceny obuwia w Polsce (22,5 zł. para) i wyniki badań budżetów rodzinnych, dojdziemy do wniosku, że dopiero przy dochodzie powyżej 100 zł. miesięcznie na jednostkę konsumcyjną można sobie pozwolić na kupno aż 2 par obuwia. A ponieważ przeciętna konsumcja wynosi 0,7 pary, to albo liczba konsumentów, dysponujących 100 czy nawet 50 zł. miesięcznego dochodu, jest znikoma, albo w Polsce uznano za bardziej hygieniczny sposób chodzenia — bez butów...

Rozpisaliśmy się tak wiele o produkcji i handlu obuwiem, jakgdyby to było górnictwo lub hutnictwo. A w rzeczy samej, czy obuwie nie stanowi w Polsce jednej z najpokaźniejszych gałęzi gospodarstwa narodowego? 140.000 robotników i rzemieślników, zatrudnionych wyrobem obuwia, wobec 170.000 górników (stan maksymalny) i 70.000 hutników (ditto), nie jest czemś drobnem, nad czem można przejść do porządku dziennego. Podobnież nie sposób pominąć milczeniem ani niedowładu konsumcji artykułu, zdawałoby się, najpierwszej potrzeby, ani socjalnej strony problemu, układającej się w sposób, niemile zaskakujący ekonomistów i polityków, którzy znają i — co gorsza — widzą tylko robotnika wielkoprzemysłowego.

CZESŁAW BOBROWSKI

ROK KRYZYSOWY W Z. S. R. R:

Nie kryzys ustroju, nie kryzys konjunkturalny, lecz kryzys polityki gospodarczej!

Mowa jest o roku kryzysowym w Rosji Sowieckiej. Temat jest popularny. Od piętnastu lat mówi się na Zachodzie o zbliżaniu się kryzysu ustroju gospodarczego Rosji Sowieckej, o nieuchronnem jego załamaniu. Mówi się coprawda w ostatnich czasach rzadziej i oględniej a przedewszystkiem, powołując się na jakieś konkretne przesłanki, a nie tylko na aprioryczne założenie, że „to wszystko jest absurdem gospodarczym“. Z drugiej strony mówi się w ostatnich czasach znacznie częściej o kryzysie Rosji Sowieckiej w innym sensie. W sensie zbliżonym, jeśli nie identycznym z pojęciem kryzysu konjunkturalnego w gospodarce kapitalistycznej. Ostatnio z autorytatywnych ust prof. Krzyżanowskiego można było słyszeć zdanie, iż Rosja stoi jakoby w przededniu nadprodukcji i kryzysu. W Rosji także

mówi się o kryzysie w związku z zagadnieniami gospodarki sowieckiej. Mówi się jednak po to, ażeby udowadniać, że kryzys światowy na gospodarkę sowiecką nie oddziaływa, i ażeby na tle wskaźników życia gospodarczego Rosji Sowieckiej uwypuklać tem bardziej degradację gospodarki kapitalistycznej.

Różnorodność poglądów jest dostateczna, ażeby wystąpić z jedną jeszcze, odmienną, opinją co do wagi charakteru i istoty trudności, przeżywanych w roku bieżącym przez Rosję Sowiecką, ażeby inaczej umotywować tytuł „Rok kryzysowy w ZSRR". Użyłem wyrażenia „trudności" chcąc uniknąć posługiwania się terminem „kryzys". Chodzi mi mianowicie o to, ażeby, na razie przynajmniej, pozostać w zgodzie z wyimaginowanym oponentem z tamtej strony granicy. Oczywiście do zupełnej zgody, do zupełnego porozumienia nie uda nam się dojść. Można jednak „dogadać się" w zakresie wielu zagadnień praktycznych. byleby się tylko unikało wyrażeń i epitetów wyklętych ze słownika partyjnego. Więcej nawet, jeżeli się przyjmie terminologję, jakiej nakazuje używać konwenans, panujący z tamtej strony granicy, to okaże się, że poglądy moje nie odbiegają tak dalece od poglądów mego szan. imaginacyjnego oponenta. Chodzi tylko o to, ażeby nie stawiać kropek nad i. Ażeby zamiast używać wyrażenia: „pomiędzy rozwojem przemysłu ciężkiego i lekkiego istnieje dysproporcja", mówić: „rozwój przemysłu ciężkiego wyprzedza rozbudowę lekkiego", zamiast „inflacja", mówić „wskaźnik emisji wykazuje za dany okres największy wzrost z pośród wszystkich wskaźników gospodarczych" itp. Pisząc dla czytelnika polskiego, nie mogę rzecz prosta posługiwać się eufemizmami sowieckiemi. Mam jednak wrażenie, że to, co powiem niżej o trudnościach sowieckich, różnić się będzie od tego, co o nich pisze prasa sowiecka, jedynie użyciem odmiennej terminologji.

Przystępuję do wyliczania. Zbiory są małe — rzeczywista powierzchnia zasiewów zeszłej jesieni i tej wiosny zmniejszyła się, gdyż w bardzo wielu wypadkach kołchozy siały pro forma, niedbale, lub za późno. W tym roku sprawa zapowiada się bodaj jeszcze gorzej. Zebrano jeszcze mniej, niż należało oczekiwać. Zebrano znowu źle i zapóźno. Tego, co zebrano, równie dobrze kołchozy jak gospodarstwa indywdualne, nie chcąc państwu sprzedawać, zostawiając zboże dla siebie lub na spekulację. Z hodowlą jest jeszcze gorzej, zresztą już od kilku lat. Z aprowizacją miast jest źle. Na wsi na przednówku w niektórych okolicach było jeszcze gorzej (prawobrzeżna Ukraina). W sklepach państwowych w miastach normy zostały znacznie zmniejszone. Na bazarach można coś niecoś kupić, ale po cenach, dostępnych tylko dla defraudantów, lub... dla ludzi, którzy nie mają innego wyboru. Wydajność pracy głodnego robotnika nie wzrasta, za to jakość produkcji się obniża. Nowe „giganty" pracują mało efektywnie. W starych fabrykach daje się zaobserwować zniszczenie maszyn. Wielkie zakłady przemysłowe stają z powodu braku niewielkiej partji niezbędnych półfabrykatów. Naprawdę szybko wzrasta tylko emisja papierowego pieniądza. Wzrasta, a z nią wzrastają ceny, wzrastają podatki i pożyczki przymusowe, spadają płace realne. Dywan perski w sklepie państwowym kosztuje tyle, co na bazarze pud mąki, a dziesięć razy mniej, niż rower. Handel państwowy usiłuje naśladować prywatnego spekulanta, zapełniającego — z workiem na plecach — pociągi w całej Rosji.*)

Wyliczone i niewyliczone zjawiska dają się sprowadzić do 3-ch nast. grup: 1) Spadek produkcji rolnej, pomimo zorganizowania lwiej części warsztatów rolnych w kołchozy i sowchozy, oraz konsekwencje tego spadku w dziedzinie aprowizacyjnej i w dziedzinie eksportu. 2) Zahamowanie rozwoju przemysłu w konsekwencji kryzysu rolnego (aprowizacja a wydajność pracy, sprawa surowców rolnych), w konsekwencji nadmiernego tempa, osiągniętego początkowo i dysproporcji pomiędzy tempem rozwoju poszczególnych gałęzi. 3) Dezorganizacja rynku i obrotu pieniężnego w związku z inflacją oraz koniecznością sięgania do coraz nowych źródeł „kapitalizacji przymusowej". Tu oczywiście zaczynam się różnić w poglądach z imaginacyjnym oponentem sowieckim. Jeśli chodziło o konstatowanie faktów, byliśmy zgodni; jeśli idzie o ugrupowanie tych faktów, przestajemy się zgadzać, bowiem każde ugrupowanie jest już po części charakterystyką. Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, jak ów oponent oceniłby powyższą próbę klasyfikacji. Niewątpliwie nie spotkałby mnie — dotychczas — z jego strony zarzut, że stanąłem na stanowisku sprzecznem z zasadami ustroju sowieckiego i systemu gospodarki planowej. Natomiast już ten cień stanowiska, który zarysował się w podanej wyżej klasyfikacji, zostałby przez niego skwalifikowany jako „prawicowe odchylenie" (prawyj ukłon). Istotnie, przyznaję się do winy. Teza, którą zamierzam niżej podać, pokrywa się z tezami prawej opozycji. Polega ona na tem, że (pomijając zwykłe błędy w planowaniu i usterki w wykonaniu planów), wszystkie zjawiska zaliczone wyżej do trzech różnych grup, posiadają jedną i tą samą przyczynę: nadmierne tempo forsowania industrjalizacji, nadmierne — nietylko sztuczne — powiększenie udziału kapitalizacji w dochodzie społecznym, kosztem udziału konsumcji. Uzasadnianie tego szczegółowe zaprowadziłoby mnie zadaleko, ograniczę się też jedynie do zupełnie szkicowej motywacji tej tezy.

1) Spadek produkcji rolnej spowodowany jest nierentownością rolnictwa a nie samem przez się utworzeniem kołchozów. Kołchozy, jeśli chodzi o produkcję, nie stanowią nic nowego, ani lepszego, ani gorszego od gospodarstw indywidualnych. Jeśli w kołchozach gospodaruje się bardziej biurokratycznie, to za to w gospodarstwach indywidualnych gospodarowano jeszcze mniej kulturalnie. Zresztą spadek produkcji rolnej w tych gospodarstwach indywidualnych, które się jeszcze ostały, jest jeszcze większy, niż w kołchozach, a tempo spadku produkcji rolnej przed kolektywizacją było jeszcze ostrzejsze, niż po kolektywizacji. Jeśli odrzucić deklamacje oficjalnych programów sowieckich, a patrzeć na nagą rzeczywistość, to stwierdzić się musi, że kołchozy stworzone zostały nie dla celów przebudowy ustroju gospodarczego wsi, ale poprostu dla zmuszenia wsi do produkowania pomimo nierentownych cen. P. Glas słusznie, choć niepotrzebnie złośliwie, w artykułach na ten temat nazywa — śladem Bucharina — kolektywizację reżimem wojenno-feudalnym. Ostatnie posunięcia (wprowadzenie bazarów z jednej, a forsowne ściąganie pieniędzy ze wsi z drugiej stro-

*) Powyższego nie należy uważać za ocenę całokształtu — w tej chwili mowa jest tylko o „cieniach".

ny), potwierdzają tezę, że kołchozy nie były celem, lecz środkiem do celu. Jaki cel ma utrzymywanie nożyc i inne metody zmniejszania udziału wsi w dochodzie społecznym? Uzyskanie środków na inwestycje. Brak mi w tej chwili nowszych cyfr, przytoczę więc obliczenie stare, dokonane przez ekonomistę sowieckiego S. Kuzniecowa: w roku 1928/29 przesunięcie kapitałów z gospodarki prywatno kapitalistycznej do odcinka uspołecznionego wyniosło 1130 mil. rb. (w owym czasie rolnictwo nie było skolektywizowane i stanowiło przynajmniej 95% gospodarki prywatno - kapitalistycznej). W tym samym roku inwestycje w przemyśle osiągnęły cyfrę 1650 mil. rb. Zbieżność cyfr zadziwiająca. Dziś wyzyskiwane są i inne źródła poza rolnictwem, ale rolnictwu nadal należy się miejsce poczesne.

2) Trudności przeżywane przez przemysł w związku z upadkiem rolnictwa, wynikają zgodnie z tem, co było powiedziane wyżej, właśnie z forsowania rozbudowy przemysłu. Wewnątrz samego przemysłu, forsowanie tempa jego rozwoju w pierwszej połowie piatiletki prowadziło do stosowania niegospodarczych metod eksploatacji, jak np. obciążanie maszyn powyżej ich teoretycznej wydajności, a przedewszystkiem jak słynna „nieprerywka" (nieprzerwany tydzień pracy), przy pracy na trzy zmiany i zerwaniu związku pomiędzy danym robotnikiem, a maszyną, na której on pracuje. Początkowo dało to rezultat w postaci bardzo szybkiego przyrostu produkcji — w ostatecznej konsekwencji musiało jednak doprowadzić do znacznego zniszczenia instalacyj fabrycznych. W rezultacie przyrost produkcji mimo puszczenia w ruch nowych fabryk nie jest tak wielki, jakby można było oczekiwać wobec tego, że stare fabryki pracują gorzej. Pogorszenie się jakości produkcji powstaje na tem samem tle oraz na tle trudności aprowizacyjnych, wynikających z kryzysu rolnego, i wreszcie z faktu, że poziom urządzeń technicznych wzrasta szybciej, niż wiedza fachowa inżynierów, majstrów, i robotników sowieckich, a zatem znowu naskutek nadmiernego forsowania industrjalizacji. Przyjęcie jako podstawy budowy planów, nie teorji możliwości, wyznawanej przez opozycję prawicową, lecz t. zw. teorji potrzeb (należy wyzyskać wszelkie możliwości rozwojowe, nie oglądając się na to, że niektóre odcinki frontu gospodarczego pozostaną wtyle), jest niczem więcej, jak doprowadzeniem forsowania industrjalizacji do ostateczności, do absurdu. Jednocześnie takie pojmowanie industrjalizacji prowadzi do gospodarki bez rezerw, z wszelkiemi konsekwencjami takiej gospodarki. I tak dalej, i tak dalej.

3) Inflacja ma jasne i niedwuznaczne podłoże. Była ona i jest do tej pory środkiem, do którego uciekał się rząd sowiecki, kiedy takie lub inne źródła dochodu zawiodły i kiedy nie można było inną drogą pokryć rozchodów na inwestycje. Podkreślam, że w danym wypadku słowo „inflacja" pojmuję w najwęższem znaczeniu, przedewszystkiem w sensie emisji biletów skarbowych. Znacznie subtelniejszy środek, inflacja kredytowa, stosowany był i jest do tej pory w równie szerokim zakresie i dla tychże celów. Zagadnienie forsowania industrjalizacji dominuje zresztą nietylko nad polityką finansową, ale i nad całokształtem polityki rozdziału dochodu narodowego. To ostatnie poruszyłem wyżej fragmentarycznie, mówiąc o sprawie rolnictwa. Cała polityka Chozraszczotu miała na widoku takie zracjonalizowanie pracy przemysłu, któreby pozwoliło na znalezienie źródła kapitalizacji wewnątrz samego przemysłu. Zeszłoroczna majowa mowa Stalina wyraźnie na to wskazuje. Równocześnie sięgnięto i do innych źródeł. Po pięciu latach przyznano rację twierdzeniu prof. Wajnsztajna (który zresztą odpokutował je w swoim czasie dotkliwie), że forsowny proces inwestycyjny nie daje się pogodzić z wzrostem dobrobytu mas pracujących. W rezultacie mamy katastrofalny spadek płac realnych w roku bieżącym — jako nowe źródło finansowania piatiletki. Manewrowanie emisją, cenami i wysokością płac pozwala każdorazowo uzyskać nowe źródło akumulacji kapitału, ale w ostatecznym rezultacie prowadzi do tak nieprawdopodobnego zakłócenia warunków rynkowych, jakie obserwujemy w roku bieżącym. Podporządkowywanie polityki emisyjnej i polityki akumulacji kapitału naczelnemu założeniu industrjalizacji à outrance daje szereg zwycięstw, których nie można nazwać inaczej, jak pyrrusowemi.

W tem miejscu można byłoby użyć formuły, stosowanej przez matematyków: cbdd (co było do dowiedzenia). Skoro naczelnem założeniem obecnej polityki sowieckiej jest forsowanie industrjalizacji, (tego nikt już chyba dziś nie kwestjonuje), skoro temu założeniu podporządkowywane są wszystkie inne punkty programu, i skoro istnieją trudności, to trudności te nie mogą wynikać z żadnych innych przyczyn, jak właśnie z forsowania industrjalizacji. Ogólny obraz sytuacji sowieckiej w najprostszem ujęciu przedstawia się jako kontrast pomiędzy niespornemi mimo wszystko sukcesami w dziedzinie rozbudowy aparatu przemysłowego, a dewastacją całości życia gospodarczego na rzecz tego jednego działu. Teza ta jest już dziś chyba dostatecznie znana i ustalona. Jeżeli zatrzymałem się na częściowej chociażby motywacji tego poglądu, to jedynie dlatego, że miałbym z kolei ochotę polemizować tym razem z rzeczywistymi oponentami, oponentami z tej strony granicy, z tymi, którzy pracowicie doszukują się ustrojowego lub konjunkturalnego kryzysu w Rosji Sowieckiej.

Zacznę od pierwszych, powołując się na niebyle jaki autorytet, na oponenta z pierwszej części artykułu. Jeżeli nawet stalinowiec, nawet prawowierny komunista nie widzi w wyżej podanem ujęciu zaatakowania ustroju, to coś w tem musi być. Jeżeli prawy opozycjonista, po cichu przynajmniej, przyznałby rację powyższym wywodom, to także coś w tem musi być. Jest rzecz prosta, która jednak dotychczas nie jest dostatecznie rozumiana — przynajmniej w praktyce. Ustrój, to jeszcze nie to samo, co polityka gospodarcza. Można z góry powiedzieć, że taka a taka polityka nie może być w danym ustroju prowadzona, ale nie można powiedzieć, jaka będzie prowadzona. Możliwy jest wybór pomiędzy szeregiem nieraz rozbieżnych wytycznych. To co dzieje się dzisiaj w Rosji, w oczach piszącego te słowa, dowodzi niespornie, że wybrano fałszywą wytyczną, nie stwarzającą korzystnych warunków dla rozwoju życia gospodarczego. Można wierzyć, że bez względu na to, jaką wytyczną obranoby w ustroju sowieckim, rezultat byłby zawsze negatywny. Można w to wierzyć, ale nie można tego dowieść, a w każdym razie nie na zasadzie faktów, jakie obserwujemy w tym roku. Wszystkie te fakty dają się bez reszty sprowadzić do założenia, iż poprostu tem-

po industrjalizacji jest nadmierne, a założenie to znajduje potwierdzenie w materjale porównawczym (w Rosji współczesnej według obliczeń sowieckich kapitalizacja sięga 40% dochodu narodowego, w Rosji przedwojennej nie przekraczała 9%, w Stanach Zjednoczonych w okresie największej prosperity — kilkunastu). Po co zatem przyjmować hypotezę dodatkową, niesprawdzalną.

Nie lepiej przedstawia się koncepcja kryzysu konjunkturalnego. Stosowanie tej koncepcji do warunków sowieckich jest poprostu albo rezultatem sztywności, albo nieścisłości myślenia. A najczęściej jednego i drugiego. „W Sowietach w tym roku jest źle. Kiedy w krajach kapitalistycznych jest źle, to nazywamy to kryzysem konjunkturalnym. Ergo, w Sowietach mamy kryzys konjunkturalny. Lada dzień będzie nadprodukcja, bezrobocie, itd., itd.". Może być, że będzie nadprodukcja, może być, że będzie bezrobocie, jest to nawet prawdopodobne, i to może nie w tak odległym czasie. Kiedy dezorganizacja rynku na skutek wszystkich wyżej opisanych metod forsowania industrjalizacji dojdzie tak daleko, że trzeba będzie proces inwestycyjny zahamować, wtedy ujawni się dysproporcja pomiędzy rozbudowanym ciężkim przemysłem a innemi gałęziami życia gospodarczego, ze wszystkiemi tego skutkami. Przedewszystkiem jednak nie jest zupełnie pewne, że tak właśnie będzie. W warunkach sowieckich np. stosowanie inflacji kredytowej i pieniężnej działało tak odmiennie, z takiem opóźnieniem i złagodzeniem, że może być, iż przy właściwem manewrowaniu uda się niektórych konsekwencyj uniknąć. Oczywiście, jeżeli polityka w porę zostanie zrewidowana. Mówiąc ogólnie, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że prawa ekonomji działają w Rosji Sowieckiej z taką samą mocą, jak w państwach kapitalistycznych. Natomiast prawa te działają na terenie odmiennych faktów. Przez odmienne fakty rozumiem przedewszystkiem zupełnie odmienne możliwości regulowania rozdziału dochodu społecznego i polityki finansowej przez rząd sowiecki, niż przez rząd któregokolwiek innego kraju. To zresztą tylko nawiasowo. Bo właściwie sprawa koncepcji kryzysu konjunkturalnego rozstrzyga się bez wchodzenia w meritum. W tej płaszczyźnie niema absolutnie znaczenia ani fakt, że zjawiska automatyzmu gospodarczego odgrywają niepomiernie większą rolę w Rosji, niż się zazwyczaj sądzi, ani fakt, że oddziaływanie kryzysu światowego na życie gospodarcze Rosji (poprzez handel zagraniczny), jest niepomiernie większe, niż się zazwyczaj przypuszcza. Poprostu, pojęcie depresji konjunkturalnej jest pojęciem ukutem w ramach pojęcia cyklu konjunkturalnego, zachodzącego w gospodarce kapitalistycznej. Pojęcie to wyposażone zostało w cały szereg atrybutów, nietylko oznaczających jakieś ogólnikowe osłabienie tętna życia gospodarczego, ale stanowiących zupełnie konkretne, określone wskaźniki, odnoszące się do poszczególnych dziedzin i funkcyj gospodarczych. Te atrybuty są nieuchronnie związane z osłabieniem tętna życia gospodarczego nie we wszystkich istniejących dotychczas i możliwych ustrojach gospodarczych, ale jedynie w naszym ustroju. Jeżeli zechce się stosować pojęcie kryzysu konjunkturalnego do zjawisk, zachodzących obecnie w Rosji, to albo trzeba będzie ograniczyć się do zwulgaryzowania pojęcia depresji konjunkturalnej, do najbardziej ogólnej interpretacji tego pojęcia (będzie źle), albo też trzeba będzie najzupełniej dowolnie dopatrywać się analogji pomiędzy atrybutami pojęcia depresji konjunkturalnej w naszych warunkach, a trudnościami, przeżywanemi przez Rosję Sowiecką w roku bieżącym. I w jednym i w drugim wypadku stosowanie niewłaściwych kryterjów prowadzić będzie jedynie do zaciemnienia obrazu rzeczywistości. Pojęcie kryzysu konjunkturalnego w stosunku do Rosji, jest nietylko niepożyteczne, ale i — na razie przynajmniej — szkodliwe.

A zatem, czy nie można wogóle wyjść poza ogólne sformułowanie, poza twierdzenie, że „Rosja przeżywa trudności gospodarcze"? Czy nie można nadać żadnej nazwy kryzysowi rosyjskiemu? Ze względu na to, że bądź co bądź w życiu gospodarczem Rosji polityka gospodarcza rządu odgrywa najbardziej zasadniczą rolę, że jeśli nawet nie przesądza ona o rozwoju gospodarki, to w każdym razie stanowi najpoważniejszy czynnik w jego kształtowaniu, ze względu na to wreszcie, że za obecne trudności wyraźną odpowiedzialność ponosi kurs, narzucony przez Stalina, jedynem bliższem sformułowaniem posiadającem wartość praktyczną i odpowiadającem kryterjom prawidłowej metody, jest: kryzys obecnego kursu polityki gospodarczej.

Tyle dla amatorów łatwych do zapamiętania określeń. Natomiast w interesie sprawy pozwolę sobie wyrazić dwa życzenia. Przedewszystkiem ażeby zagadnienie ustroju przy badaniu problemu rosyjskiego zostało, narazie przynajmniej, nieco w cień usunięte. Zagadnienie to ma charakter nietylko gospodarczy. Iluzją jest, że można w płaszczyźnie czysto gospodarczej dowieść słuszności, czy niesłuszności jakichś założeń ustrojowych. Z punktu widzenia czysto gospodarczego, prawdopodobnie każdy ustrój jest możliwy. Który jest słuszny, to zależy od hierarchji celów, niedającej się ustalić bez poza gospodarczych założeń. Po drugie, ażeby zwrócono więcej uwagi na dwa problemy, które najwięcej mogą rzucić światła zarówno w dziedzinie oceny sprawności, systemu planowego, jak i w dziedzinie perspektyw rozwojowych Rosji Sowieckiej. Chodzi mianowicie o zbadanie, jak przedstawia się stosunek pomiędzy przyrostem kapitału na skutek forsowania industrjalizacji, a jego niszczeniem z tejże samej przyczyny, oraz o zbadanie, jak długo i w jakim zakresie możliwe jest w warunkach rosyjskich odpowiednie manewrowanie inflacją dla podtrzymania procesu inwestycyjnego. Obawiam się jednak, że nietylko z przyczyny braku materjału (istotnie w danym wypadku dotkliwej), na odpowiedź na te zagadnienia trzeba będzie czekać bardzo długo, może aż do chwili, dopóki rzeczywistość nie wyręczy ekonomistów.

NOTATKI

TOWARZYSTWA HANDLU KOMPENSACYJNEGO.

Na niwie zniekształconej polityki handlowej ostatniego roku wyrastają pewne twory z natury rzeczy nienaturalne. W nienormalnych warunkach obrotu istnieje siłą rzeczy spekulacja chwytająca okazję do robienia doraźnych interesów. W teorji towarzystwa wzajemnej kompensacji mają za zadanie ważną funkcję społeczną do spełnienia, a mianowicie prowadzenie interesów clearin'gu walutowego w imieniu eksportera i importera. Jeśli chodzi o szersze jeszcze funkcje, cel ich działalności sprowadza się do utrzymania obrotu z krajem reglamentacji walutowej, a głównie eksportu i prowadzenia tej wymiany na zasadach remis'u. W gruncie rzeczy cel tych instytucji jest znacznie skromniejszy, a w szczególności ogranicza się do zbierania od obrotu kompensacyjnego prowizji podobnych do rogatkowego, pobieranego przez prześwietne magistraty. Oczywiście rogatkowe można pobierać o tyle tylko, o ile niema konkurencji. Dlatego też główne wysiłki tego typu inicjatywy sprowadzają się do uzyskania gwarancji wyłączności w Polsce i w kraju odbioru. To właśnie najbardziej oburza sfery zainteresowane nie mające zamiaru opłacania się powiernikowi przymusowemu zgóry, bez względu na osiągnięcie w rezultatacie zysku czy straty na danej tranzakcji. Demoralizującą ponadto jest konieczność posługiwania się tego rodzaju aparatem przez kupców, czy też przemysł pracujący z danym krajem, wynikła na tle stosunków i relacyj, posiadanych przez dane towarzystwo. Ma ono bowiem zapewnione drogi dla uzyskiwania walut kraju odbioru.

Dlatego się wydaje nader ważnym, aby nowa instytucja kompensacyjna świeżo zawiązana przez czołowych przedstawicieli życia gospodarczego uniknęła błędu wyłączności i pójścia po „łatwej" linji utrudniania, zapomocą różnych metod biurokratycznych i opłat, tranzakcyj kompensacyjnych podejmowanych z dobrą wolą i wiarą przez polski eksport. Pod tym względem inicjatywa ta winna jaknajszczelniej odgrodzić się od tradycji swych poprzedników. Mowa tu o Polskiem Towarzystwie Handlu Kompensacyjnego. Postawiło ono sobie za zadanie ułatwianie tranzakcji kompensacyjnych przedewszystkiem ze wszystkimi krajami reglamentacji dewizowej i innej. Sam rozmiar i zakres działania, jaki stąd wynika, upoważnia do wymagania wielkiej ostrożności, a jednocześnie dużej sprężystości ze strony towarzystwa. Obietnice bowiem dane sobie przez założycieli mogą nader łatwo zawieść, chociażby ze względu na trudności techniczne, a nie możemy zapominać, że państwo chociażby nie brało udziału, ani w inicjatywie, ani też nie posiadało bezpośredniej kontroli, zawsze jest odpowiedzialne za funkcje spełniane przez podobnego typu organizacje prywatne. *g. m.*

NAJPATRYJOTYCZNIEJSZE PUDEŁKO.

Szeregu pozytywnych prac organizacyjnych dokonano w ostatnich czasach w stosunku do monopoli państwowych. Dziwnem, że jedna dziedzina, na którą zresztą oddawna wskazywano jako na anomalję, pozostała nietknięta. Jest nią opakowanie i nazwy cygar wyrabianych przez Monopol Tytoniowy w Polsce. Wszak już w sprawozdaniu misji Kemmerera czytamy: „Reklama, która podkreśla firmę Monopolu Tytoniowego, godło państwa, lub wyrażenie w rodzaju „pro patria", ma zawsze wątpliwą wartość, a szczególnie w czasie, kiedy palacze są przekonani, że ceny wyrobów tytoniowych są za wysokie, a palność ich za niska" (t. II str. 111).

7 lat od tego czasu upłynęło, a patryjotyczny charakter etykiet pozostał.

Przyjrzyjmy się pudełku cygar marki „Pro patria". Jest to chyba najpatryjotyczniejsze pudełko, jakie sobie można wyobrazić. Na środku w otoku nazwy monopolu — orzeł. Po lewej stronie naklejka „w krwawem polu srebrne ptaszę" — znowu orzeł. Naokoło pudełka wstęga, licząca kilkadziesiąt emblemacików orzełka w czerwonem polu, między tem biało czerwone wstęgi jak na festyn narodowy. Po prawej stronie pudełka — husarz, ułan z czasów księstwa warszawskiego i ułan w mundurze współczesnym. Gdy się otworzy pudełko, zamglone patrjotycznym wzruszeniem oczy widza ujrzą znowu 3 wojaków w otoczeniu barw narodowych, pod nimi orzełek strzelecki, nad nimi zaś złoci się napis „Pro patria" — dla ciebie Ojczyzno. Ale to nie wszystko. Jest jeszcze kartonik - pokrywka, na którym wyrysowany jest znicz święty i dwa orły go strzegące.

Wzruszonemi rękami otwieramy pudełko. Co może skrywać ono jeśli nie najdroższe pamiątki, listy, medale.

W pudełku leży pięć cygar. Leży, tak. Już nie pięć, lecz cztery. Piąte właśnie zostaje zapalone, a palacz, zakrztusiwszy się dymem, aż się zakaszlał, może szepnąć swej oczarowanej duszy: „Dulce et decorum est pro patria mori". *p. g.*

Redaktor odpowiedzialny KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI **Sekretarz Redakcji: ZOFJA CIECHOMSKA**

RĘKOPISÓW NADESŁANYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 646-64. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.